Cena 80 mk.
№ 1. Warszawa, 1 stycznia 1922. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *I. Moszczeńska*: O pokój na ziemi. — *Ludwik Kulczycki*: Postępy w budowie Państwa Polskiego. — *Prof. Władysław Leopold Jaworski*: — Nowożytny kodeks cywilny. — *Leon Pączewski*: — Rok gospodarczy 1921. — *Edward Woroniecki*: Romans murzyński. — *Bolesław Leśmian*: Migoń i Jawrzon. — *Czesław Halicz*: Sennik egipski. — Kronika literacka i artystyczna. — *Ernest Łuniński*: Stanisław Rożniecki.

O pokój na ziemi.

Gwiazda Betleemska w 1921 roku wzeszła pod znakiem pokoju. Chóry anielskie, zwiastujące go „ludziom dobrej woli", zabrzmiały tym razem nad zachodnią półkulą i stamtąd, ponad dwoma oceanami, płynęły na wschód i zachód ku staremu światu, przyczem Biały Dom w Waszyngtonie pełnił rolę stajenki, choć dotąd niewiadomo, czy w niej zrodziło się już zapowiadane Królestwo Boże.

Nie przeceniając doraźnych konkretnych wyników konferencji waszyngtońskiej, można jednak stwierdzić w niej pewne cechy, które i w dalszej historycznej przyszłości nakażą liczyć od niej nową erę w międzynarodowych stosunkach.

Aż do wojny 1914—18 roku to, co nazywano polityką międzynarodową, było właściwie polityką mocarstw europejskich i to nawet wtedy, gdy wpływy jej uchwał i postanowień obejmowały inne części świata i dalekie oceany. Przez długi okres czasu, tak zwany okres zbrojnego pokoju, polityka kolonjalna była piorunochronem dla zatargów europejskich mocarstw, które kosztem innych lądów wyrównywały rachunki między sobą. Ten system zaczął się chwiać już od początku dwudziestego wieku, a wojna ostatnia przekreśliła go całkowicie. Wykazała ona, że Europa sama, swemi własnemi siłami nie może rozegrać walki o panowanie nad światem, że musiała apelować do pozaeuropejskich potęg, które wystąpiły w europejskim zatargu po raz pierwszy w roli czynnej, a nie jako bierny materjał odszkodowań i podziałów. To przechylenie szali nie zatrzymało się bynajmniej na punkcie równorzędności, lecz poszło dalej, aż do przewagi strony przeciwnej.

Jeszcze układy wersalskie były próbą utrzymania hegemonji europejskiej, której przedstawicielką stała się Rada Najwyższa—istotnie bardzo wysoka, gdyż ona to układać miała nanowo całą mapę świata. Ale mimo oficjalnych enuncjacji, które nieodmiennie stwierdzały nienaruszalną trwałość sojuszów, zawartych dla wojny, a scementowanych braterstwem broni, każda konferencja wymagała dalszych ciągów i uzupełnień, interesy sprzeczne występowały coraz dosadniej, gdy interes wspólny — zmiażdżenie Niemiec — przestał być punktem koncentracyjnym wysiłków, a gmatwanina różnych konfliktów lokalnych wywoływała nieustanne tarcia.

Sprawdziły się słowa jednego z angielskich mężów stanu, który już w drugim roku wojny oświadczył: „Wojna jest ciężką i będzie jeszcze cięższą, ale okaże się ona dziecinną zabawką w porównaniu z pokojem, który będzie najcięższym ze wszystkich".

Okazało się, że Europa sama nietylko rozegrać lecz i zlikwidować wojny nie zdoła, a w znacznej części przyczyniła się do tego okoliczność, iż wpadła w zależność ekonomiczną od swych pozaeuropejskich sojuszników.

Mocarstwa, które prowadziły wojnę, które ją wygrały, nie wzmocniły się odniesionem zwycięstwem w tej mierze, w jakiej osłabiły swych wrogów. Ofiarami wojny są nietylko zwyciężeni; tryumfatorzy wrócili z zapasów światowych inwalidami — choć nie wszyscy i bynajmniej nie w równej mierze. Różnice pozostają mniej więcej w stosunku do stopnia zaangażowania w wojnę.

Ofiarą jej padła przedewszystkiem Francja. Jej straty w ludziach sięgają dwuch miljonów, gdy Anglja straciła mniej więcej tyle, co Serbja, a Belgja opłaciła zwycięstwo 100,000 istnień ludzkich. Straty Ameryki i Japonji, nie podawane zwykle w obliczeniach, są zapewne minimalne, bo też każda z tych dwóch egzotycznych potęg bardzo krótko uczestniczyła w walce: jedna tylko na wstępie, druga w zakończeniu wojny. Ich udział w koalicji antyniemieckiej był niemniej niezbędny i bardzo wydatny, lecz zarazem wysoce lukratywny. Polegał on na obsługiwaniu walczących dostawami i transportami, co zmusiło i jedną i drugą do rozwinięcia przemysłu wojen-

nego, budowy okrętów oraz opanowania dróg morskich. Wyręczając flotę angielską na Oceanie Spokojnym i Indyjskim, Japonja zagarnęła cały handel na tych wodach, co jej przyszło tem łatwiej, że skutkiem wzrostu kursów dolara i funta szterlinga towary angielskie i amerykańskie traciły rynki zbytu. Ameryka stała się wśród tego wierzycielką całej Ententy i wyrosła bez protestu ze strony W. Brytanji na równą jej potęgę morską. Zaiste, trudno było się łudzić, aby te dwie potęgi zgodziły się zająć na konferencjach zwycięzców skromne stanowiska uczestników z głosem doradczym w drobnych sprawach miniaturowego lądu europejskiego, który je w bardzo małej mierze mógł interesować. Dla Ameryki jedynym istotnym punktem zainteresowania jest wypłacalność Europy. Chodzi jej o to, by tę starą część świata jaknajprędzej uporządkować i zapędzić do roboty, bo im regularniej ona procenty i należność płacić będzie, tem mniejszy ciężar podatkowy spadnie na barki obywateli Stanów Zjednoczonych. Trzeba zaznaczyć i to, że Ameryka nie ma bynajmniej zrozumienia dla czynników historycznych, które w europejskich zatargach narodowościowych grają rolę tak potężną i decydującą. To powoduje geometryczną prostolinijność jej polityki, wręcz nieznośną, gdy się ją aplikuje do całej wielostronności i złożoności życia narodów, stanowiących wytwór licznych stuleci dziejowego rozwoju. Nie wszystko da się tu ująć w cyfry i rozwiązać przy pomocy równania matematycznego.

I Ameryka przekona się o tem niebawem, gdy przyswoi sobie to, czem nad nią dotąd góruje stara Europa, to jest — doświadczenie polityczne.

Sam fakt zebrania się konferencji w Waszyngtonie był już znamienną wskazówką, że panowanie nad światem wymyka się z rąk mocarstw europejskich i że środek ciężkości międzynarodowej polityki przesunął się na drugą półkulę. Odbiło się to zupełnie bezpośrednio na położeniu tego państwa, które jest i europejskiem i pozaeuropejskiem jednocześnie, t. j. W.-Brytanji. Dominja dzisiejsze a wczorajsze kolonje wzięły górę nad metropolją i narzuciły jej swą wolę w trzech zasadniczych punktach: zerwanie sojuszu z Japonją, zawarcie ugody z Irlandją, porozumienie ze Stanami Zjednoczonemi. Zdaje się, że te dwa ostatnie punkty były ściśle ze sobą związane i zupełnie niepotrzebnie politycy europejscy łamali sobie głowę nad wykryciem istotnej przyczyny nieobecności Lloyda George'a na pierwszych naradach w Waszyngtonie zamiast przyjąć w tym wypadku przyczynę oficjalnie wysuwaną: konieczność uprzedniego ukończenia rokowań z Irlandją. W okresie walk i prześladowań, gdy ludność Zielonej Wyspy zmniejszyła się o połowę, druga połowa, która wyemigrowała, zapełniła Stany Zjednoczone i dominja angielskie, zdobywając tam coraz szersze wpływy i znaczenie. Dość przypomnieć, że cała katolicka ludność Stanów Zjednoczonych znajduje się pod kościelną władzą irlandzkich biskupów, co nie jest bez znaczenia w tym kraju, gdzie religijna wspólnota jest ośrodkiem zrzeszeń ekonomicznych, społecznych, kulturalnych, oświatowych i t.p. Lloyd George jako pogromca irlandzkiego powstania byłby tam niewątpliwie przyjęty znacznie gorzej, niż obecnie, gdy pojedzie jako szczęśliwy rozjemca krwawego, siedemset lat trwającego zatargu.

Pierwszy akt Konferencji waszyngtońskiej zakończył się wspaniałym efektem: podpisaniem poczwórnej ugody, gwarantującej dziesięć lat pokoju morskiego między potęgami oceanicznemi. Ten pierwszy akt rozegrano na sposób amery-

IFIGENJA.

I.

Dwa zarzuty rozbrzmiewały nieustannie pod adresem Eurypidesa przez cały ciąg jego — niezbyt długiego dla owych czasów zdrowych — żywota: oskarżono go i o obrazę szacunku dla wiary ojczystej i o nienawiść do kobiety.

W obu zarzutach tkwiła część prawdy, ale tylko część! Niewątpliwie, poeta-myśliciel, w którego duszy żył, działał i cierpiał duch Zeusa, w sposób niekiedy lekceważący odzywał się o tem, co pochodzi z Ziemi i lgnie ku Ziemi, o religji i o kobiecie... o których symbiozie naturalnej proszę przypomnieć sobie dobitne, lecz trafne słowa Mefistofelesa; tłum wszelako, mocą nieodmienienia przyrodzonego sobie symplizmu, nazbyt skwapliwie poczynił swe uogólnienia. Tłum, zwykły na własne podobieństwo tworzyć postacie swoich ludzi wielkich, nie potrafił zrozumieć i ocenić tego, że przeciwnik jego był i poetą i myślicielem; że, jako myśliciel, umiał on gromadzić cierpliwie szczątki Gołębiej księgi prawdy, która zdruzgotaniu uległa, padając na ziemię, i że nie poprzestawał na szczątku jej ladajakim, przypadkowo znalezionym; jako poeta zaś potrafił zmagające się z sobą myśli oblekać w ciało i antynomje logiczne zmieniać w konflikty tragiczne. Tłum nie rozumiał Eurypidesa; za to on rozumiał tłum doskonale, przeto też nie kusił się o to, aby być przezeń rozumianym: po śmierci jego dopiero ujrzały Ateny te dwie tragedje, w których odpowiedział on na oba zarzuty wyżej nadmienione i wyświetlił wobec współczesnych stosunek swój i do religji i do kobiety.

Tragedję wiary wcielił on w swe „Bakchantki", tragedję kobiecości pokazał w „Ifigenji z Aulis".

II.

W „Bakchantkach" widzimy tragedję wiary, w „Ifigenji"—tragedję kobiecości; nad obu poeta pracował jednocześnie, nic przeto dziwnego, że temat główny jednej tragedji pobrzmiewa pogłosem wtórnym także i w drugiej. W „Bakchantkach" kobieta występuje, jako przedstawicielka i ekstazy religijnej, i protestu przeciwko niej; podobnież w „Ifigenji" za naczynie idei wybrał poeta najbardziej gorszące dla ludzi opowiadanie z tradycji świętej Hellenów — to samo, na które po czterech bezmała wiekach powoła się rzymski poeta — wolnomyśliciel, Lukrecjusz, starając się przekonać przyjaciela swojego

kański: szybko i prostolinijnie. Przyjęto pewne stosunki cyfrowe, ustalono ogólne zasady i oznaczono termin zobowiązań. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to już koniec; to był dopiero początek. Chodzi teraz o interpretację układu w jego praktycznem wykonaniu. Wiadomo, że wszystkie zatargi między ludźmi i narodami wynikają z rozbieżnej interpretacji ogólnie uznawanych zasad. Nie inne było przecież źródło krwawych walk religijnych między narodami chrześcijańskiemi.

Okazuje się, że cztery mocarstwa, które poręczają sobie wzajemnie nienaruszalność swych posiadłości na Oceanie Spokojnym, nie umówiły się jeszcze dokładnie, o jakich posiadłościach mowa: wyspiarskich, czy nadbrzeżnych? Nawet dyplomaci Stanów Zjednoczonych nie są zgodni między sobą, jak zastosować tę zasadę do świeżych zdobyczy japońskich. Zasada „otwartych drzwi" w Chinach nastręcza również pewne wątpliwości... Czy odźwiernym przy tych drzwiach może być naród chiński i czy wolno mu będzie niekiedy drzwi zamykać i otwierać? Przez otwarte drzwi każdy wejść może, ale najłatwiej przychodzi to temu, który ma do nich najbliższą drogę, to też Japonja bynajmniej nie potrzebuje tak wielkiej floty, jak Anglja i Ameryka, by się zagospodarować we wszystkich portach niebieskiego państwa. Stosunek cyfrowy flot bynajmniej nie oddaje ściśle ich względnej potęgi na morzu, gdyż trzeba go zestawić z długością i rozmieszczeniem geograficznem wybrzeży, których dane floty bronić mają — W zasadzie przecież mocarstwa poręczać sobie mogą wzajemnie tylko prawo do obrony a nie prawo inwazji.

Flocie japońskiej wystarczy swoboda ruchów na jednym oceanie, amerykańskiej na dwóch, W.-Brytanja musi ją mieć na wszystkich, gdyż drogi morskie stanowią jej komunikację wewnętrzną, są dla niej tem, czem sieć kolei żelaznych dla Rosji, a osłabienie, przerwanie lub zniszczenie tego wewnętrznego łącznika różnych części olbrzymiego Imperjum może spowodować rozpadnięcie się całego organizmu, już i tak podlegającego coraz większemu zróżniczkowaniu i rozczłonkowaniu. I drugorzędne potęgi morskie mają już pewne wątpliwości: Francja nie chce być na łasce swych sojuszników i właśnie założyła u siebie wielką Akademję Morską (Ecole Navale), ażeby w danym wypadku własnemi siłami zapewnić sobie wolność mórz i wybrzeży, gdyż usługi przyjacielskie są kosztowne i mogą zawieść niekiedy. Włochy domagają się zrównania z Francją, co dawałoby im przewagę na Morzu Śródziemnem, jedynem, na którem ich flota do celów obronnych służyć może. — Jak widzimy tedy, sprawy napozór proste zaczynają się wielce komplikować, zanim jeszcze o ratyfikacji układu można było pomyśleć. Stają się one tem bardziej zagadkowe, gdy się zwróci uwagę, że wojna morska, którą traktat poczwórny ma zażegnać, dziś sama przez się byłaby eksperymentem nieobliczalnym, złożonym z samych znaków zapytania. Wojna światowa mogła tylko nasunąc szereg wniosków, naprowadzić na nowe pomysły techniczne i taktyczne, lecz nie przyniosła żadnych decydujących doświadczeń. Czem będzie nowoczesna bitwa morska, co stanie się w niej rozstrzygającym czynnikiem? To jest dotąd tylko co najwyżej domysłem, jeśli nie tajemnicą nieprzeniknioną. Jedyne doświadczenie, zdobyte w latach wojny ostatniej, jest czysto negatywne: łodzie podwodne nie dają rozstrzygnięcia walki morskiej; mogą w niej być tylko czynnikiem pomocniczym.

Pośrednio traktat poczwórny dążył do urzeczywistnienia wolności mórz, tego punktu programu Wilsona, który został usunięty z porządku

---

Memmjusza, że antyreligijny jego poemat nie ma bynajmniej charakteru zdrożnego:

Oto, czego się lękam: możesz pomyśleć, Memmjuszu,
Że pierwiastki zdrożności poznasz w mej księdze i wstąpisz
Na zbrodniczości drogę. Nie miej obawy: religja
Częściej przykłady jawiła czynów występnych i zdrożnych,
Czyliż nie wiesz, jak w Aulis ołtarz Djany dziewicy
Krew dziewicza zbroczyła? Jak Ifigenję zakłuli
Wojsk helleńskich wodzowie, męże pierwsi, najlepsi?..
iluż krzywd doradczynią była religja śród ludzi!

I niema wątpliwości, że i nasz poeta mógłby wysunąć ten wdzięczny motyw: znieważona w swych uczuciach najświętszych Klitemnestra, matka bohaterki, mogłaby tak samo wystąpić z oskarżeniem przeciw okrutnemu bóstwu, jak czyni to inna matka, dzieciobójczyni Agaba w „Bakchantkach". Ale, być może, dla tej ostatniej właśnie przyczyny stało się inaczej; zrzadka jedynie słyszymy tłumione szemranie tematu wtórnego, w słowach chóru, naprzykład:

Duszę masz wzniosłą, królewno-gołąbko,
Lecz jakże srogi są Los i Bogini!..

Wogóle zaś groźna zachcianka bogini pominięta jest, jako niewyjaśnione ale i nie podlegające wyjaśnieniu zrządzenie Fatum.

Wojsko greckie zebrało się w Aulidzie, gotowe do odpłynięcia pod Troję; ale nie może doczekać się pomyślnych dla się wiatrów, i nie doczeka się, *dopóki Agamemnon*, naczelny wódz zjednoczonych szczepów greckich, *nie złoży w ofierze bogini wybrzeża aulidzkiego Artemidzie* (Djanie) *swej córki starszej Ifigenji*. Bezpośredniego nakazu tu niema: Ifigenja może pozostać w komnatach pałacowych ojca, żadna nań kara za to nie spadnie; wypadnie jednak z konieczności wojsko rozpuścić, wyrzec się wyprawy, pożegnać sny o zwycięstwie i sławie.

III.

Na tem polega węzeł tragedji; i na tem również polega przyczyna, sprawiająca, że tragedja owa, mimo ten barbarzyński motyw ofiary ludzkiej, wciąż jest bliska naszemu uczuciu.

Za władzę i działalność, za zwycięstwo i sławę człowiek musi płacić: kto dąży do nich, ten powinien być gotów poświęcić im na ofiarę owe tkliwsze i delikatniejsze ideały, które piastuje głąb jego serca. Niezliczoną liczbę razy powtarzała się konieczność okrutnego wyboru, którego wynikiem było poświęcenie Ifigenji... Czytelnik, oczywista, nie powinien sądzić, że w słowach tych zawiera się cała „idea" Ifigenji. Słowa te wypowiedziano tu jedynie po to, aby łacniej mu było w szczytnej postaci przeszłości

dziennego obrad wersalskich, a który miał najwięcej realnego znaczenia dla Ameryki.

Dotąd nie posunięto się jednak wyraźnie na drodze wskazywanej przez senat amerykański w poparciu wniosku senatora Borah, nie narzucono rozbrojenia dłużnikom Stanów Zjednoczonych dla zagwarantowania wypłaty długów. Ten czysto lokalny motyw może jednak zaważyć na losach całego układu, gdyż jest hasłem walki partyjnej w amerykańskiem społeczeństwie.

Rząd, który nie wykaże, że ściąga energicznie należności zagraniczne dla ulżenia ciężarów podatków, może zostać obalonym, a co najmniej nie uzyska ratyfikacji zawartych przez siebie traktatów.

Ściąganie należności związane jest raczej z rozbrojeniem na lądzie, nie na morzu. Głównym dłużnikiem Ameryki jest niewątpliwie Francja, ta zaś ma zupełną rację twierdzić, że póki jej nie zapłacą tego, co jej się należy, nie może uiścić się ze swoich należności. Sprawa odszkodowań niemieckich jest dla niej sprawą być albo nie być, a moralny obowiązek zapewnienia jej tych odszkodowań ciąży na wszystkich jej sojusznikach.

Odnieśli oni zwycięstwo kosztem Francji, kosztem zniszczenia jej ludności i jej ziemi, zniszczenia tak strasznego, jakiego nie zaznały w ciągu dziejów żadne państwa europejskie, czy pozaeuropejskie, gdyż ono cofnęło najbardziej kwitnące okolice—nie jak u nas do przedhistorycznego pustkowia—lecz do jakiejś geologicznej epoki. Zrujnowana przez katastrofę wojenną, przez bankructwo swej głównej dłużniczki Rosji, Francja nawet przy nadludzkich wysiłkach energji i pracowitości nie zdoła odbudować swego przedwojennego dobrobytu, jeśli nie uzyska choćby pieniężnego pokrycia strat poniesionych.

Na nieszczęście, sprzymierzeńcy, tak liczni i gorliwi w czasie wojny, gdy chodziło o podtrzymywanie jej woli zwycięstwa, dziś troszczą się tylko o przywrócenie równowagi we własnych interesach i wznowienie korzystnego handlu z dłużnikami Francji. Odbudowa Rosji i dźwignięcie Niemiec przedstawia dla nich interes ważniejszy i bliższy.

Sprawa rozbrojenia na lądzie w najwyższym stopniu obchodzić musi Polskę. Gdyby nie to, że uzbrojenie Polski leży w interesie Francji i że p. Briand w Waszyngtonie, broniąc własnej ojczyzny, musiał stanąć również w obronie naszego pogotowia zbrojnego, prostolinijna i krótkowzroczna polityka amerykańskich senatorów mogłaby nam narzucić dobrodziejstwo pacyfikacji, któraby nam groziła zagładą, — a niewątpliwie nie spotkałaby się ona z protestem ani ze strony Anglji, ani Japonji, gdyż żadnej z tych potęg nie zależy na istnieniu Polski.

Francja mogłaby się warunkowo zgodzić na zredukowanie swej armji, gdyż potrzebuje jej tylko na jednej zagrożonej granicy i rzeczywiste ubezwładnienie Niemiec lub utrzymanie ich w szachu przez solidarny nacisk trzech potężnych sprzymierzeńców, rządzących światem, mogłyby być dla niej dostateczną gwarancją bezpieczeństwa. Inaczej z Polską, która ma wszystkie granice zagrożone i niepewne, wszystkich sąsiadów nieobliczalnych, a na najdłuższej granicy niezwiązanych żadnemi traktatami i związkami, nie podlegających żadnej kontroli. Trzeba istotnie być amerykańskim politykiem, aby wyobrażać sobie, że rozbrojenie jest zawsze rękojmią pokoju, nie zaś — bardzo często — zupełnie wystarczającą pobudką do wojny. Starczy sama znajomość historji Polski, rozbrojonej w 1717 roku, by zrozumieć, czem grozi naiwne i lekkomyślne przekucie miecza na lemiesz tam, gdzie żadne góry ani morza

---

Bohaterskiej rozpoznać znamiona rodzinne. Idea nie zawiera się w micie, jak ziarno w łupinie; idea żyje w nim, jak dusza żyje w ciele. Mit, ożywiany ideą, jest to szczególnego rodzaju organizm psychofizyczny, wedle własnych rozwijający się praw; w możności stwarzania tego rodzaju organizmów tkwi wyższość poezji filozoficznej nad filozofją oderwaną.

Władza i działalność, sława i zwycięstwo wołają Agamemnona ku dolinie Skamandra, pod ściany Troi; tem samem żądają zgonu Ifigenji. Po uporczywej walce król postanawia spełnić to żądanie: jego gońcy pędzą do Argosu, aby stamtąd wrócić z królewną. Czy wszystko już rozstrzygnięte? Ze stanowiska tragedji najstarszej—wszystko. Ajschylos w „Agamemnonie“ swym przedstawił nam i walkę w sercu króla i jej wynik; jakkolwiek okropnym wydał mu się warunek, przez boginię postawiony, poddał mu się, „skłonił szyję pod jarzmem konieczności“; na rozkaz jego, mężowie podjęli dziewicę nad ołtarzem ofiarnym, przewiązawszy chustą jej nadobne usta, aby w chwili zgrozy przedśmiertnej nie wyrzekły przekleństwa na jego dom. Jest to zbrodnia, i poeta zdaje sobie z tego sprawę; tymczasem zaś „na niwie grzechu plonem bywa śmierć“. Za zabitą kobietę-gołąbkę zemściła się kobieta-żmija. Żmiją zrazu Klitemnestra nie była; stała się nią potem, gdy córkę jej poświęcono na ofiarę władzy i sławy jej męża.

Inne rozwiązanie daje pośmiertna tragedja Eurypidesa.

IV.

Gońcy pomknęli do Argosu; rychło wrócą stamtąd z królewną, którą im, niezawodnie, wydała nie podejrzewająca niczego Klitemnestra. Jakże bo miała nie wydać? Król pisał jej w liście, że córka ich ma poślubić najsławniejszego z Hellenów, Achillesa... Ale w ciągu nocy męcząca walka znów rozgorzała w duszy króla i tym razem górę wzięło serce; pisze nowy do żony list, polecając zostawić córkę w Argosie, i oddaje ten list wiernemu staremu niewolnikowi Klitemnestry. List przejmuje Menelaos. Menelaos więcej od innych ucierpiałby, gdyby nie doszła do skutku wyprawa, przedsięwzięta z jego powodu; rozgrywa się gorąca scena między nim a bratem. Dowody Menelaosa dyktuje samolubstwo, i obalić je nietrudno: czyż warto dla Heleny poświęcać Ifigenję? Nie chodzi wcale o niego:

Lecz Hellada, słysz, Hellada! Za cóż cierpieć ma zniewagi?
Czyż dla pięknych ócz królewny wydać chcesz na urągowisko
Nasze groźby znamienite?...

W taki to sposób władza i działalność, zwycięstwo i sława w innej stoją przed nami postaci:

granic nie strzegą, a jedynie mężne piersi stanowią wał ochronny dla pokojowej pracy.

Brak kultury historycznej u pewnego typu polityków zamyka im oczy na tę prawdę, że naród to nietylko przestrzeń i cyfra, nietylko kraj i ludność, lecz indywidualny organizm historyczny, rozwijający się wedle swych wewnętrznych sił i lokalnych warunków, podlegający prawom przyrodzonym, których żadne umowy i postanowienia ani skasować, ani zawiesić nie mogą. Geometryczne szablony nie dadzą się dowolnie przenosić z Chin do Szwajcarji, z Szwajcarji do Polski.

Wielkiem to jest szczęściem naszem, że znalazł się w Waszyngtonie głos, który stanął w obronie tych indywidualnych praw i interesów, wielką szkodą, że my sami nie wnosimy jeszcze na międzynarodowe konferencje własnych argumentów mądrości politycznej, którą winniśmy byli zaczerpnąć naszych długich i gorzkich doświadczeń dziejowych. Dobrze bronionym jest ten tylko, kto się sam broni.

Czy jednak ten postulat samodzielności politycznej może się zwracać przeciw już zawiązanym a tak wielce cennym sojusznikom? Broń Boże! Samodzielnym w polityce nie jest bynajmniej ten, kto jest odosobnionym. Odosobnienie, to dziś przeciwnie — bezsilność i zależność. Odosobnienia lękają się nawet takie potężne mocarstwa, jak Japonja, jak Anglja i Ameryka. Nawet najpotężniejszy jest słabym, gdy mnóstwo mniej silnych przeciw niemu się sprzysięże, o czem losy Niemiec świeżo świat pouczyły.

Nasze racje i argumenty własne nie powinny się zwracać przeciw Francji, lecz obok jej argumentu wytaczane, przedłużać front obronny interesów europejskiego lądu i europejskiej równowagi. Filarami nowych powojennych porządków muszą być dziś w Europie Francja na zachodzie, na wschodzie Polska. Im silniejszym, pewniejszym, trwalszym będzie ten filar wschodni, tem pomyślniejsze widoki pokojowej odbudowy. Przez ubezpieczenie bytu, dobre zagospodarowanie i mądre pokierowanie rozwojem naszej Ojczyzny oddamy najlepszą usługę naszym sprzymierzeńcom bliskim czy dalekim — oraz pokojowi świata.

I. Mossczeńska.

Postępy w budowie Państwa Polskiego.

Nie będzie tu mojem zadaniem rozpatrywanie ani wszystkich, ani większości praw i rozporządzeń administracyjnych, dotyczących budowy naszego państwa, oraz omawianie naszej praktyki administracyjnej, w różnych dziedzinach życia. Cel artykułu niniejszego jest o wiele skromniejszy. Chodzi mi o wskazanie na najważniejsze objawy, w roku ostatnim, dotyczące postępów na drodze rozwoju naszej państwowości, jak również o zwrócenie uwagi na pewne czynniki naszego życia wewnętrznego, od których zależy całokształt naszych stosunków socjalno-politycznych.

Ważnemi nader faktami w roku ubiegłym, mającymi ogromne znaczenie dla utrwalenia naszego bytu państwowego, są: całkowite ustalenie naszej granicy zachodniej i częściowe ustalenie wschodniej. Sprawa Śląska Górnego została rozstrzygnięta dla nas naogół pomyślnie, a jakkolwiek nie otrzymaliśmy wszystkiego, czego pragnęliśmy, jakkolwiek poza granicą państwa naszego pozostało jeszcze dużo, gdyż kilkaset tysięcy Polaków, to jednak zdobycz naszą mierzyć i oceniać musimy nie na podstawie naszych pragnień, ani też na zasadzie jakiejś absolutnej sprawiedliwości—

---

nie stanowią one już nagrody, której można się i wyrzec, ale stanowią *powinność*—powinność żołnierza wobec towarzyszów broni, powinność króla wobec poddanych. Konflikt się zaostrza: ta męska, żołnierska, królewska powinność staje przed nami w majestacie tak groźnym, przygniatającym, że tryumf jej nad kobiecem uczuciem miłości i tkliwości zdaje się być niezawodny.

Sam los przychodzi jej z pomocą: Ifigenja jest już tutaj, w obozie greckim, a towarzyszy jej Klitemnestra, która nie chciała zrzec się swego prawa macierzyńskiego i postanowiła sama wydać córkę za mąż, sama nieść przed oblubienicą pochodnię weselną. Nawet Manelaos czuje się tknięty grozą nieszczęścia; godzi się z bratem, radzi mu nie poświęcać córki, ale... Hellada, Hellada! Widmo powinności, skoro raz zostało wywołane, już nie znika: jarzmo Konieczności głęboko w kark się wpiło; strącić go niepodobna.

V.

Ale i po drugiej stronie siły są niemniejsze. Tajemnica się wydała: Klitemnestra dowiedziała się, poco wraz z córką wezwano ją z Argosu. Zapewniła ona sobie potężny środek ratunku; ale nim się doń ucieknie, pragnie prośbami ubłagać króla. Jej nic „Hellada“ nie mówi: ona staje w obronie swych praw kobiecych, a prawa te są jasne, niezawodne, niezwalczone. Równie jak większość Greczynek, wyszła za mąż nie z miłości, tylko na życzenie rodziców; poślubiwszy go, atoli wierną mu była małżonką i posłuszną, święcie strzegąc czci jego i jego dzieci — tych czworga dzieci, które wydała na świat. Jakże jej teraz chce odpłacić?

...Powiedz, czyś pomyślał o tem,
Gdy na wyprawę udasz się daleką,
Co z sercem matki stanie się, Atrydo,
Matki dziewczęcia, które zamordujesz?
Jakże ta matka na łoże ptaszyny,
Swojej ptaszyny martwej będzie patrzeć,
Jakże na gniazdko puste będzie patrzeć,
Dzień po dniu, płacząc i przypominając...

Czy pomyślał? — O, tak, rozumie się, pomyślał; ale myśli te nie zdołają skruszyć jarzma Konieczności, one zadają tylko jeszcze więcej bólu sercu rodzicielskiemu, które się rwie na kawały... Niema rady: trzeba uciec się do ostatniego, ostatecznego środka.

VI.

Tym środkiem jest Achilles. Sławny syn rusałki, w samotności gór przez mądrego wychowany Centaura, obcy wszelkiemu—jak rzeklibyśmy

lecz z punktu widzenia naszych sił i tych warunków realnych, wśród których one działają. Jeżeli uprzytomnimy sobie tę wielką przestrzeń czasu, która nas oddziela od chwili faktycznej utraty przez nas Śląska Górnego, a względnie krótki przeciąg czasu od powstania odrodzenia narodowego, jakie się dokonywać zaczęło na jego terytorjum; jeżeli dalej uwzględnimy te przeciwności, na jakie natrafiało oderwanie części nawet Śląska Górnego od Niemiec — wówczas musimy dojść do tego przekonania, że to, co otrzymaliśmy, jest zdobyczą nader poważną pod względem narodowym i gospodarczym.

Obecnie w każdym razie mamy już ustaloną granicę zachodnią naszego państwa.

Inaczej rzeczy przedstawiają się na Wschodzie.

Wprawdzie traktat ryski ustanowił granicę polsko rosyjską i polsko-ukraińską (sowiecką), ale trwałość jego nie jest pewną, nawet w czasie bliskim. Wprawdzie i nasza granica zachodnia narażoną będzie na ataki i niebezpieczeństwa, ale utrwalenie jej jest widocznym interesem jednego z silnych państw koalicyjnych — Francji, która naruszeniu jej nie chciałaby, a nawet nie mogła biernie się przypatrywać.

Rozumieją to Niemcy i jeżeli myślą o odwecie, a myślą niezawodnie, to zdają sobie również sprawę z tego, że odwet taki w przyszłości bliższej możliwym nie jest i że stać się może faktem tylko w przyszłości dalekiej, przy innem ukształtowaniu stosunków międzynarodowych.

Inaczej przedstawia się sprawa naszej granicy wschodniej, określonej przez traktat ryski. Zgodzili się na nią bolszewicy niezawodnie nieszczerze, sami też w każdej chwili są skłonni ją naruszyć, o ile siły ich na to pozwolą; następnie trwałość ich rządów jest conajmniej niepewną i niewiadomo, jak się odniosą do traktatu ryskiego przyszli panowie Rosji, a zwycięscy bolszewików. Zgóry można przewidzieć, że uznają oni tylko „Polskę etnograficzną" i że, wrazie możności, zechcą zabrać niby „ziemie rosyjskie" naszemu państwu.

Jednakże zauważyć należy, że Rosja, po upadku bolszewików, nieprędko jeszcze będzie mogła prowadzić politykę zaczepną wobec Polski i że mieć będziemy dość czasu na to, aby uporządkować nasze stosunki wewnętrzne, wzmocnić się na kresach wschodnich i za pomocą odpowiedniego systemu sojuszów zapewnić sobie bezpieczeństwo. Sprawę te poruszę zresztą w artykulę specjalnym.

W każdym jednak razie nasza granica wschodnia może być prędzej narażoną na niebezpieczeństwo od zachodniej, wobec niepewności stosunków wewnątrz Rosji.

Sprawa wileńska nie jest jeszcze niestety rozstrzygniętą, i niewiadomo, czy, pomimo zbliżających się wyborów, prędko rozstrzygniętą będzie. Nasi niby federaliści[1]) są niepoprawni, żadne doświadczenia nie mogą ich otrzeźwić. Obecnie znowu chcą oni za wszelką cenę nadać Sejmowi Wileńskiemu znaczenie ustawodawcze, zamiast ograniczyć jego rolę do oświadczenia się za Polską, lub nie. Byłoby grubym błędem z naszej strony domagać się natychmiast oficjalnego uznania przewidywanego a przyjaznego dla nas orzeczenia Sejmu Wileńskiego. Domaganie się takie spowodowałoby zapewno, narazie przynajmniej, opór Anglji. Państwa Zachodnie zgodzą się raczej, początkowo przynajmniej, na milczące uznanie wyników decyzji Sejmu, niż na oficjalne uznanie przynależności t. zw. Litwy Środkowej do Polski. Wszelkie nowe próby

---

dziś—„instynktowi społecznemu". I jemu nic nie mówi „Hellada", albowiem widzi on w niej dokuczliwą przeszkodę na drodze swej woli osobistej, jego zaś wola jest namiętna, potężna i czysta, niby wicher z wyżyn Peljonu. Jest on oburzony tem, że Agamemnon użył jego imienia dla swego podstępnego zamysłu. O małżeństwie nie myśli — Ifigenji nigdy nie widział i słyszy o niej poraz pierwszy, lecz jest to rzecz obojętna; dziewczyny, którą nazwano „narzeczoną Achillesa", skrzywdzić nie pozwoli. Prawda, że jest on sam jeden; cała „Hellada" powstanie przeciw niemu, nawet własna jego drużyna cała go opuściła, nie chcąc dla pięknej chimery poświęcać sprawy powszechnej. Lecz jest on zato pierwszym wśród wojska bohaterem, niezwyciężonym synem bogini morskiej; przyjdzie, stanie obok ołtarza, uzbrojon od stóp do głowy, na czele wojów, którzy pozostali mu wierni,—i biada temu, kto podniesie nóż na jego narzeczoną. W wojsku rozeszła się o tem wieść, i powszechne napięcie się wzmaga; Odysseusz, przedstawiciel siły społecznej, rozpala namiętności wojowników przeciwko młodemu szaleńcowi. Zanosi się, jak widać, na gorącą rozprawę: krew helleńska obficie zrosi ołtarz dziewiczej bogini.

...Nie Achilles jest bohaterem naszego dramatu; ale sprawiedliwość wymaga, abyśmy wskazali mimochodem na tę postać szczególną, zwiastującą jakgdyby w swej osobie cały średniowieczny romantyzm rycerski, z jego odwagą bezpamiętną, z jego szlachetnością, nie znającą zastrzeżeń, z jego gotowością walki w obronie kobiety i jej praw.

VII.

Nie Achilles jest bohaterem dramatu; jego bohaterką jest przedstawicielka kobiecości — Ifigenja. Kimże jest Ifigenja? Jest to kwiat prześliczny i tkliwy, wyrosły w chłodnym cieniu komnat pałacowych, pod życzliwą opieką tejże bogini—panny, Artemidy. Będąc dumą swego ojca i sama dumna z niego, tego wzoru cnót wszelkich w jej oczach, zacisznie rosła na spotkanie owego czasu, który napawał ją uczuciem trwogi i słodyczy, czasu, w którym wypadnie jej drugiego człowieka nazwać swym małżonkiem; stać się gospodynią i królową w innym domu, w innym kraju. I, oto, czas ten nadszedł, jej sny dziewicze znalazły, a raczej — snom tym wskazano określony przedmiot. Słowo „wesele" zadźwięczało w jej uszach, wywołując pełnię rozkwitu całej młodzieńczej istoty... i nagle ten miraż uroczy ginie, inne słowo słuch jej uderzyło — słowo straszne: śmierć, śmierć z ręki ubóstwia-

pseudo-federacji Litwy z Polską do niczego nie doprowadzą i osłabić tylko mogą naszą pozycję.

W sprawie Małopolski Wschodniej niema obecnie nic pewnego: jedno z pism francuskich puściło w świat wiadomość, że jakoby rząd francuski miał wystąpić z planem przysądzenia nam tego co, w swoim czasie ofiarowały nam mocarstwa zachodnie, to znaczy, części zachodniej b. Galicji Wschodniej z Przemyślem, z tą tylko zmianą, że Lwów miałby być rodzajem wolnego miasta — państwa w rodzaju Gdańska, a zagłębie naftowe byłoby nam przysądzone; Wiadomość ta nie znalazła potwierdzenia i plany mocarstw zachodnich w stosunku do Wschodniej Małopolski nie są nam znane. W każdym razie stanowisko nasze w tej sprawie jest o tyle silne, że prowincję tę mamy w swem ręku, że ludność polska ją zamieszkująca odznacza się stanowczością, energją, a nawet bohaterstwem i że wola lwowian zbyt była wyraźną, w czasie wojny, aby budzić mogła wątpliwości. Trudno byłoby państwom zachodnim, a właściwie Anglji, gdyby miały uznać za wskazane oddanie Galicji Wschodniej komu innemu, odebrać nam ją, a zwłaszcza Lwów. Należy też wystąpić z całą energją przeciwko wszelkiego rodzaju prowizorjum w sprawie Małopolski Wschodniej, gdyż stałoby się ono punktem wyjścia ciągłych walk wewnętrznych w tym kraju.

Skoro omawiam już sprawę granic państwa, to niech mi wolno będzie wspomnieć jeszcze o strzeżeniu naszych granic. W swoim czasie na łamach „Tygodnia Polskiego" zaznaczałem już konieczność stworzenia silnej, dobrze zorganizowanej straży pogranicznej, złożonej z ludzi bystrych i uczciwych. Obecnie, kiedy sprawa przesiedlenia Polaków z Westfalji do Polski jest na porządku dziennym, nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę sfer rządowych na to, że wśród robotników, wracających z tej prowincji niemieckiej, obok takich, co mają oszczędności lub pragną osiąść na roli, albo założyć warsztaty, sklepy — są i tacy, co nie mają wcale oszczędności, albo tylko bardzo małe i dlatego poszukują zajęcia na służbie państwowej. Są oni uczciwi, bardzo patrjotycznie nastrojeni, oświeceni i do państwa przywiązani. Okoliczność, że nie pochodzą z kresów, nie ma znaczenia i nie może przemawiać przeciwko przyjęciu ich do straży pogranicznej, gdyż jako ludzie inteligentni zorjentują się prędko w sytuacji na kresach.

Rząd, nasz w czasach ostatnich, zajął się zorganizowaniem straży pogranicznej, ale: 1) jest jej za mało, zwłaszcza na granicy wschodniej, 2) płaca zaś i wogóle zaopatrzenie jest zupełnie niedostateczne, niema bowiem ani odpowiedniej ilości domów, ani też systematycznej dostawy środków spożywczych. Dlatego też, pomimo istniejącej już straży pogranicznej, wspominam jeszcze o zwiększeniu jej, oraz przyjęciu w jej szeregi wychodźców z Westfalji, Polaków, pochodzących z b. Dzielnicy Pruskiej.

Faktem kapitalnego znaczenia w naszem życiu wewnętrznem jest uchwalenie konstytucji. Pomimo warunków trudnych, błędnego pojmowania poszczególnych jej zagadnień przez pewne stronnictwa — mamy, śmiało powiedzieć można, bardzo dobrą naogół konstytucję. Po długich sporach, wkońcu zdrowy sens zwyciężył w Sejmie.

Niestety jednak, otwarcie wyznać to należy, pewne nasze stronnictwa nie zdają sobie należycie sprawy z tego, czem są i być powinny rządy parlamentarne i podkopują je skrycie, przeciwstawiając im inne czynniki, które chcą wyzyskać dla swoich celów. Tymczasem niczego może nam tak nie potrzeba, jak właśnie ustalenia rządów

---

nej, z ręki ojca. Wszystka jej młodość buntuje się przeciwko tej groźbie; protest życia przeciw unicestwieniu — dyktuje jej pierwsze słowa:

> ... O, nie zabijaj mnie przedwcześnie!
> Świat jest tak cudny, a schodzić w podziemia
> Wiecznego mroku tak strasznie!.. Litości!

Mówi to ojcu, ojciec zaś jej odpowiada:

> ... Hellada żąda twej ofiary,
> Hellada śmierci twojej się domaga.
> I gdyby przyszło dla niej do ostatka
> Krew naszą wylać, aby barbarzyńca
> Pól jej nie deptał i kobiet nie hańbił,
> Atrydów krew przed śmiercią się nie cofnie.

Hellada? Cóż znaczy dla niej Hellada? Cóż ona w tem wszystkiem rozumie? Lecz ona kocha tego, od kogo słowa te wyszły, i miłość ta wystarcza jej zamiast wyjaśnień, zamiast dowodów; łańcuch życia rozluźnił się, kędyż, w bliskiej dalekości, dostrzega ona jakiś ideał nowy, który kochać zaczyna na wiarę, gdyż ideałowi temu służy człowiek, przez nią ukochany. Wszelako decyzji jeszcze nie powzięła; na rękach matki szlocha bezradnie: poco, poco to wszystko?

Zjawia się Achilles. Ifigenja pragnie ukryć się przed nim; przed tym, z którego imieniem złączyła swe marzenia dziewczęce, lecz ukryć się niema gdzie. Widzi go, widzi jego urodę wspaniałą i męstwo; widzi jego gotowość oddania życia za tę, którą bez jego wiedzy nazwano jego narzeczoną — a więc śmierć, widocznie nie jest tak znowu okropna. Jest to wtóra lekcja miłości. Choć czuje słuszność po swej stronie, widzi i wierzy, że i ojciec jej także ma słuszność, i że te dwa rodzaje słuszności zetrą się ze sobą w morderczym boju, jeżeli nie pojedna ich miłość. Ojciec ukazał jej cel, narzeczony zaś wskazał jej też drogę; teraz już się nie waha. Nie pod uciskiem przemocy, ale dobrowolnie poświęca siebie na ofiarę za ojca, za oblubieńca, za wojsko, za ową „Helladę", którą kochać uczyły ją usta kochane; jej wolna wola, miłością natchniona, skruszy jarzmo konieczności.

Taka jest potęga tej dzieweczki pokornej.

Nie dano jej odwagi twórczej, zapalającej ideały życia; dano jej miłość i wiarę, a wraz z niemi zdolność brania w siebie i piastowania ziarn ideału, posianych w duszy jej przez człowieka kochanego, strzeżenia ich aż do samozaparcia, aż do poświęcenia.

Tak, snadź, rozumiał kobietę Eurypides.

Prof. Dr. Tadeusz Zieliński.

parlamentarnych, ścisłego przestrzegania prawa, wogóle legalizmu w życiu publicznem, ścisłego rozgraniczenia odpowiedzialności. Pod tym względem mamy jeszcze duże braki, ale niezawodnie uchwalenie konstytucji jest wielkim krokiem naprzód w powyższym kierunku.

Naogół państwowość nasza znacznie się wzmocniła w 1921 roku. Sprawność administracyjna w niektórych dziedzinach administracji widoczne zrobiła postępy. Dotyczy to przedewszystkiem kolejnictwa i aparatu skarbowego. Porządek na kolejach zwiększył się bardzo znacznie, ruch pociągów jest normalny. Okoliczność ta zwróciła nawet uwagę cudzoziemców. Trafiają się jeszcze tu i owdzie smutne wyjątki, nie zmienia to jednak ogólnego obrazu.

Sprawa ściągania zaległych podatków olbrzymie zrobiła postępy, co uwidoczniają liczby, znane już z prasy codziennej. Uchwalenie daniny i znaczne oszczędności, oraz pewna poprawa naszej waluty są to wszystko objawy bardzo poważnej poprawy stosunków.

Trzeba tu jednak zwrócić uwagę, że nie należy stosować oszczędności zbyt daleko idącej, kosztem interesów państwowych. Nie można i nie należy robić oszczędności na szkolnictwie, lub policji, której jest zamało na prowincji.

W społeczeństwie naszem, w Sejmie i w Rządzie obudziła się też energja w sprawie zwalczania bolszewizmu. I dziś jednak są jeszcze u nas koła, które lekceważą niebezpieczeństwo ze strony agitacji bolszewickiej.

Aż do czasów ostatnich nasze władze sądowe, wedle wyznania samego ministwa sprawiedliwości, w Sejmie nie śmiały korzystać należycie z praw istniejących w zwalczaniu bolszewizmu. Nie stosowano poprostu niektórych praw, obawiając się poszczególnych stronnictw. Z tego powodu wysunięta została sprawa ustaw specjalnych dla zwalczania bolszewizmu. Z projektem nowych ustaw wystąpiły dwa ministerstwa: sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Projekt ministerstwa sprawiedliwości dotyczy nowych praw karnych dla pewnej kategorji przestępstw.

We wszystkich państwach, Anglji nie wyłączając, wrazie niepokojów, występnej agitacji, rozruchów i t. p. swobody obywatelskie zostają zawieszone, a władze administracyjne uzyskują większą swobodę działania. Że u nas, w walce z bolszewizmem, pełnomocnictwa władz administracyjnych winny być zwiększone — nie może ulegać wątpliwości. Chodzi tylko o to, czy projekt ministerstwa spraw wewnętrznych czyni temu zadość, w sposób odpowiedni. Otóż pod tym względem nie waham się odpowiedzieć, że nie, ponieważ otwiera możność, przez zbyt ogólnikowe sformułowanie pewnych ulegających karze czynów, zbyt dowolnej interpretacji, co mogłoby stać się powodem nadużyć. Należałoby ściślej określić karygodne czyny i agitację, tak, aby uzasadnione wobec bolszewików represje nie mogły być stosowane wobec innych grup i ludzi.

Nie można zwalczać zasadniczo ustaw antybolszewickich, jako reakcyjnych, gdyż sam bolszewizm jest gorszy od wszelkiej reakcji, a raczej jest jej sprzymierzeńcem, gdyż toruje tylko jej drogę.

Rok 1921 uważany być może za rok zwrotny w życiu naszego Państwa, jednakże to korzystne przesilenie nie jest ukończone jeszcze.

Dalszy rozwój naszych stosunków wewnętrznych zależy przedewszystkiem od naszych stronnictw politycznych i od ich wzajemnego ustosunkowania się.

Ujemnym zjawiskiem jest obecnie przewaga w Sejmie stronnictw włościańskich. Poza bardzo małem gronem posłów, należących do tych stronnictw, odznaczających się poczuciem państwowości—ogół ich posłów składa się z demagogów, stojących na gruncie wąsko pojmowanych interesów klasowych. Stronnictwa włościańskie sabotowały daninę, pchają też swoich ludzi na najwyższe stanowiska, nie troszcząc się zupełnie o ich przygotowanie.

Dopóki w Sejmie była walka o konstytucję, było rzeczą zupełnie zrozumiałą, że stronnictwa robotnicze i chłopskie szły razem, chodziło im bowiem o demokratyczną konstytucję. Obecnie jednak konstytucja ta stała się już faktem dokonanym; ci, co ją poprzednio zwalczali, czasami sami uznają dużą jej wartość. Obecnie więc ten blok robotniczo-chłopski jest zupełnie zbyteczny. Dzięki temu blokowi uchwalono reformę rolną tak źle pomyślaną, że albo nie będzie jej można wprowadzić w życie, albo też urzeczywistnienie jej bez zmian przyniesie nieobliczalne szkody gospodarczo-kulturalne.

Nasze stronnictwa włościańskie nie mają też wyreźnej linji postępowania. Właściwie niema u nas jeszcze poważnego stronnictwa ludowego, stojącego na gruncie interesów włościan właścicieli i mającego zrozumienie dla interesów państwa. Stworzenie takiego właśnie stronnictwa jest bardzo potrzebne. Żadna myśl państwowa nie przyświeca Piastowcom, ani grupie „Wyzwolenia". Żywioły szczerze patrjotyczne i stojące na gruncie państwowym, a należące do istniejących już stronnictw włościańskich powinny z nich wystąpić i utworzyć nowe stronnictwo.

Jak dawniej walka z przewagą szlachty była najżywotniejszem zadaniem w polityce wewnętrznej, tak obecnie na plan pierwszy wysuwa się walka z przewagą włościaństwa, bez usunięcia której nie można myśleć o podźwignięciu naszego państwa. Ściślej mówiąc, chodzi tu nietyle o usunięcie przewagi samego włościaństwa, ile raczej o usunięcie przewagi istniejących obecnie stronnictw włościańskich.

Włościanie we Francji mają wpływ wielki, ale wpływ ten nie jest szkodliwy, gdyż nie cechuje go skrajna wyłączność klasowa, a nawet stanowa, jak u nas.

Pomimo różnych ujemnych stron naszego życia wewnętrznego rok ubiegły naogół przedstawia się dodatnio. Stosunki socjalno-polityczne uległy większemu niż poprzednio sprecyzowaniu.

Przyszłe wybory są zagadką. Pomimo nawoływania do możliwie szybkiego rozwiązania Sejmu, jest rzeczą nader wątpliwą, czy nastąpi ono przed końcem lata roku 1922.

Ponieważ walka stronnictw w Sejmie i poza nim nabiera coraz większej wyrazistości, jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Sejm przyszły będzie wyraźniejszym od obecnego. Zarówno ludzie, jak i stronnictwa niewyraźne, poniosą za-

pewne porażkę przy wyborach. Wówczas łatwiej będzie wytworzyć jakąś większość w Sejmie i, co zatem idzie, łatwiej będzie poprowadzić politykę konsekwentną.

Ludwik Kulczycki.

Nowożytny kodeks cywilny.

(Referat na Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczpospolitej Polskiej d. 6 grudnia r. 1921).

I.

Powołany przez Szanownych Kolegów na zaszczytne stanowisko Prezesa Sekcji, która ma stworzyć Kodeks cywilny, uważam za swój obowiązek nietylko przewodniczenie, t. j. staranie się, aby obrady wydały pozytywny rezultat, ale sądzę, że obowiązkiem moim jest także dążenie do ujęcia całości zadania, które mamy rozwiązać. Pragnąc to zadanie spełnić, przygotowałem obszerniejszą pracę, zaopatrzoną w źródła i w literaturę. Niebawem ją wydrukuję, po rozesłaniu zaś jej, Szanownych Kolegów poproszę o dyskusję. Dzisiaj podaję tylko wyniki tej pracy w ogólnych zarysach.

Twórcy kodeksu cywilnego zadać sobie muszą i rozwiązać dwa pytania: Jakie są stosunki, które mają znaleźć w kodeksie cywilnym unormowanie, i jakiem ma być to unormowanie? Pierwszem zasadniczem przeto zadaniem jest poznanie stosunków, ich natury, ich kształtu i treści, mających być unormowanemi. Dopiero po rozwiązaniu tego zadania podjęta być może praca nad drugiem zadaniem, t. j. rozwiązaniem pytania, jak te stosunki unormować.

Pierwsze zadanie nie jest łatwe, nietylko bowiem nasze państwo, ale cała nasza planeta znajduje się w przesileniu. Musimy mieć ambicję, żeby stworzyć kodeks, któryby nietylko odpowiadał aktualnym stosunkom, ale także miał szanse utrzymania się przez pewien dłuższy czas. Gdybyśmy poszli za wyrażanem przez niektórych prawników zdaniem, że wystarczy zmodyfikować i dostosować do polskich potrzeb jeden ze znakomitych obcych kodeksów cywilnych, stworzylibyśmy mojem zdaniem kodeks, któryby odrazu był anachronizmem. Nie przychylam się przeto do tego kierunku i idę trudniejszą drogą stworzenia kodeksu, któryby bezpośrednio wspierał się na panujących obecnie stosunkach, któryby wchłonął w siebie idee naszego czasu i przez to stał się zdolnym do rozwoju razem z rozwojem tych idei. Jakiej ostrożności potrzeba będzie przy tego rodzaju pojmowaniu zadania, będę się starał wykazać.

Drugie pytanie: jak unormować stosunki, które poznamy wrazie rozwiązania pierwszego pytania, da się rozstrzygnąć tylko w drodze intuicji. Ale każdy prawodawca może się tylko intuicją kierować. Czy będziemy mieli przytem szczęście, czy intuicja nasza okaże się trafną, osądzą nasi synowie i wnukowie. Musimy jednak mieć odwagę decyzji, jeżeli nie mamy być rzemieślnikami, choćby mistrzami, ale stworzyć, powtarzam: stworzyć, dzieło.

Przystępuję do odpowiedzi na pytanie, jaką naturę, jaki kształt i jaką treść mają stosunki, które mają znaleść unormowanie w kodeksie cywilnym. Ograniczam swe zadanie do stosunków majątkowych. Rozpatrzeć je należy z różnych punktów widzenia. Takie oświetlanie ich z różnych punktów widzenia jest koniecznem wskutek przyzwyczajenia naszego umysłu. Na jedną i tę samą rzecz patrzymy, oceniamy ją, przeżywamy ją z punktu widzenia moralnego, politycznego, ekonomicznego i techniczno-prawnego. Jest to jednak zawsze jedna i ta sama rzecz, a tylko światło pada na nią z różnych punktów. O tem musimy nieustannie pamiętać. Stosunek np., który z punktu widzenia konstrukcyjno-prawnego nazywamy prawem własności, nie przestaje być tym samym stosunkiem, chociaż na niego będziemy patrzyli z punktu widzenia moralności, lub gospodarstwa narodowego, lub ustroju państwowego, lub układu społecznego. Kodeks cywilny nie może być ani księgą moralności, ani księgą naukową z dziedziny ekonomji, polityki lub socjologji. Kodeks cywilny ujmie dane stosunki tylko z punktu widzenia konstrukcji prawniczej. Ale prawodawca musi przedmiot, który ma właśnie ująć w te konstrukcje, znać. Musi przeto być i filozofem i ekonomistą i politykiem i socjologiem. Inaczej nie dostrzeże przedmiotu, który ma unormować, nie będzie go znał. Inaczej byłby budowniczym, któryby budował wspaniałe gmachy na rajsbrecie. Z tych przeto powodów rozpatrzeć winniśmy stosunki majątkowe, wśród których żyje ludzkość, a w szczególności mieszkańcy naszego Państwa, ze wszystkich powyższych punktów widzenia. Okaże się wówczas, czy rezultaty tego rodzaju badania są zgodne, czy też antynomiczne. Od tego zależeć będzie rozwiązanie drugiego pytania: jak te stosunki unormować.

II.

Wiek XIX i początek XX jest wiekiem myślenia racjonalistycznego, a więc wiekiem areligijnym; jest wiekiem haseł i programów negatywnych, jest wiekiem sceptycyzmu; wreszcie w dziedzinie nauki prawa jest wiekiem konstrukcji osoby prawnej i prawa podmiotowego. Mówiąc w ten sposób, mamy na myśli, że cechy te dominują, że mają supremację nad ich antytezami. Bynajmniej jednak nie twierdzimy, aby te kierunki myślenia były wyłącznemi. Przeciwnie, dla uniknięcia nieporozumienia musimy uczynić pewną wstępną uwagę.

W nauce można być zwolennikiem myślenia racjonalistycznego i odrzucać objawienia, lub odwrotnie. Ale ustawodawca, każdy zresztą działający praktycznie człowiek nie może ignorować prądu przeciwnego jego naukowemu stanowisku, może tylko stwierdzić, w jakim stosunku te dwa prądy znajdują się do siebie, czy jeden jest silniejszy od drugiego, który w większej mierze opanowywa umysły danej epoki, niż drugi, a wskutek tego, który z nich powołuje do życia funkcjonujące w danej chwili instytucje. Gdy zadaniem naszem w niniejszym referacie jest zbadanie stosunków, które mają być unormowane przez kodeks cywilny, a więc zbadanie życia, zbadanie tego, co istnieje, przeto nie możemy nie widzieć obydwóch prądów, a stwierdzamy tylko, iż wiek XIX

i początek XX wykazują supremację myślenia racjonalistycznego.

Pod względem politycznym od rewolucji francuskiej wybija się zasada, że władza zwierzchnia w państwie pochodzi od narodu. Jest to zasada racjonalistyczna. Jej antyteza, t. j. zasada, że władza zwierzchnia opiera się na prawie boskiem, oznacza, że rządzenie powinno się opierać na moralności absolutnej. Wynikiem supremacji rozumu, a więc wynikiem zasady, że władza pochodzi od narodu, jest brak punktu stałego w rządzie i we wszystkich instytucjach. Nie może być inaczej tam, gdzie nie jest uznawaną moralność absolutna, opierająca się na prawie boskiem. Różnicę między racjonalizmem a myśleniem opierającem się na objawieniu, a więc na podstawach absolutnych, uzmysłowi nam pewien obraz. Racjonalizm w przeciwstawieniu do religijności — to ogród sztuczny, w którym drzewa rosną w wazonach i doniczkach, w przeciwstawieniu do ogrodu naturalnego, w którym drzewa tkwią korzeniami w ziemi. W ogrodzie sztucznym zasadzam drzewa w wazonach, nie troszcząc się o klimat i ziemię, zmieniam je wedle upodobania, jedne usuwam, wprowadzam nowe. W ogrodzie naturalnym bez skutku sadzić będę drzewa, które nie odpowiadają klimatowi i ziemi. Porównanie to tłumaczy nam zmienność i dowolność instytucji państwowych tam, gdzie supremację ma racjonalistyczne myślenie.

Hasła, którym od rewolucji francuskiej aż do dziś dnia hołdują społeczeństwa, mają treść negatywną. Hasło równości, na którem opiera się demokracja, niepodzielnie dzisiaj w świecie cywilizowanym panująca, ma treść z jednego punktu widzenia względną, z drugiego zaś punktu widzenia jest przecież tylko zaprzeczeniem przywilejów, które przed rewolucją francuską służyły pewnym stanom. Treść pozytywną może mieć zasada równości tylko w ustroju komunistycznym, wszędzie indziej oznacza ona tylko negację cudzego przywileju. Z tego punktu widzenia, z którego oceniliśmy dopiero co zasadę równości, wydać się nam musi negatywną także zasada wolności. Jest ona również tylko zaprzeczeniem więzów, które krępowały rządzonych przez absolutną monarchję przed rewolucją francuską. Ale pozytywną treść może mieć wolność także tylko w ustroju komunistycznym.

Powiedzieliśmy wreszcie, że w dziedzinie prawa racjonalistyczne myślenie stworzyło pojęcie osoby prawnej i pojęcie prawa podmiotowego. Są to także antytezy absolutyzmu. Najcharakterystyczniejszem jest stworzenie z państwa osoby prawnej, jako antytezy tego stanowiska, któremu dał wyraz Ludwik XIV w słowach: „l'etat c'est moi".

Konsekwencje racjonalistycznego myślenia oddaje w r. 1921 może zanadto po literacku, a jednak bardzo prawdziwie Oswald Spengler, gdy pisze: Życie nie ma celu. Ludzkość nie ma celu. Istnienie świata, w którym my na naszej małej planecie odgrywamy tylko drobny epizod, jest czemś o wiele wznioślejszem, niż żeby takie mizerne drobiazgi, jak szczęście możliwie największej liczby ludzi, mogły być celem. W bezcelowości tkwi wielkość dramatu. Tak czuł Göthe. Ale to życie, które nam zostało danem, tę rzeczywistość dookoła nas, w którą nas włożył los, wypełnić możliwie najwyższą treścią, tak żyć, abyśmy z nas samych mogli być dumnymi, tak działać, aby z nas przecież coś w tej spełniającej się rzeczywistości przetrwało, oto jest zadanie. Nie jesteśmy „Menschen an sich". To należy do przebrzmiałej ideologji. Obywatelstwo światowe jest mizernym frazesem. Jesteśmy ludźmi pewnego wieku, pewnego narodu, pewnego koła, pewnego typu. To są konieczne warunki, pod któremi możemy dać istnieniu sens i głębokość"...

Trudno dobitniej oddać negację absolutnej zasady, relatywizm, sceptycyzm, a jednak, jak później zobaczymy, także mimo wszystkiego nie dającą się ukryć tęsknotę za czemś, co ma być „najwyższą treścią", za czemś, „z czego moglibyśmy być dumni", za czemś, co ma po nas pozostać. Co to ma być, jeżeli bezcelowość naszego istnienia jest naszym udziałem i naszą tragedją, jeżeli w człowieku niema nic ogólnego, wspólnego każdemu ludzkiemu tworowi?

Te same przyczyny, które w nauce prawa wywołały konstrukcję prawa podmiotowego i konstrukcję osoby prawnej, doprowadziły w ekonomji politycznej, nauce na wskroś racjonalistycznej, do konstrukcji „klasy". Tak samo, jak pojęcie prawa podmiotowego i osoby prawnej, jest to fikcja, pozwalająca na pewne ugrupowanie zjawisk. Mimo braku realności, wiemy, jaki poważny wpływ to pojęcie wywołało.

Myślenie racjonalistyczne daje, jako obraz świata, obraz walki. Jednostka walczy o byt z innemi jednostkami i z całym szeregiem osób prawnych. Wewnątrz państwa wiodą ze sobą walkę klasy, w tym celu upersonifikowane. Państwa wiodą ze sobą walkę pod hasłem imperjalizmu i t. d. Świat, jako teren nieustającej walki, musi być zaludniony walczącymi. Stąd państwo musimy sobie wyobrażać jako osobę, bo byśmy inaczej nie mogli sobie wyobrazić wogóle walki z państwem. Muszą powstać personifikacje w kształcie „klas", bo inaczej nie moglibyśmy wyobrazić sobie walki robotników z pracodawcami i t. p.

Możemy wskutek tego stwierdzić, że racjonalistyczne myślenie z konieczności wiedzie w dziedzinie prawa do konstrukcji prawa podmiotowego i do konstrukcji osoby prawnej.

Z drugiej strony pogląd na świat, stworzony przez racjonalistyczne myślenie, składa się, jak mozajka, z hipotez i fikcji. Hipotezy sprawdzają się lub upadają, w miarę, jak odkrywamy fakty potwierdzające je lub im zaprzeczające. O fikcjach zgóry wiemy, że nie będą stwierdzone, i zgóry wiemy, że są same w sobie sprzeczne. I jedne i drugie są jednak nam potrzebne, jak rusztowanie potrzebne jest do budowy gmachu. Po zbudowaniu rusztowanie się rozbiera. Niestety i sam gmach nie jest wieczny. Albo grunt, na którym się go postawiło, okazał się niestałym, albo materjał, który użyto do budowy, okazał się wadliwym, albo budowniczy popełnił błąd w konstrukcji. Tak samo jest niestety w nauce, opartej na myśleniu racjonalistycznem. Jak w nauce, jest tak samo w życiu praktycznem, przedewszystkiem w ustawodawstwie i w polityce, o ile opierają się one na racjonalistycznem myśleniu.

Szkoła historyczna opiera się z pewnością na pewnej głębokiej filozofji, ale zajęła się głównie rozwojem historycznym instytucji prawnych, tkwiącej jednak na dnie tej metody samorzutności i tajemniczego wzrostu prawa nie uzasadniła filozoficznie we wszystkich konsekwencjach. Dla nas ważnem jest jednak jeszcze co innego. O ile idzie o ustawodawstwo, to z rezultatów pracy tej szkoły, jak świadczy historja powstania np. kodeksu cywilnego niemieckiego, korzystano racjonalistycznie, to znaczy, dowolnie.

Mimo więc tego, że szkoła ta wywarła wielki wpływ w nauce, to jednak w praktycznej działalności, t. j. w ustawodawstwie, nie możemy uczynić z niej przeciwwagi racjonalizmu.

Tak samo ma się rzecz z materjalistycznym poglądem na dzieje. Do chwili koncentracji kapitału w możliwie najmniejszej ilości rąk, t. j. do chwili dojścia do dojrzałości, umożliwiającej rewolucję, Marx i Lenin są ewolucjonistami. — Ale już z tą chwilą, kiedy następuje zadanie ciosu, t. j. objęcie rządu przez proletarjat, zaczyna panować niepodzielnie racjonalizm. — Cała pozytywna konstrukcja komunizmu, jak wykazują cztery lata rządów bolszewickich, jest racjonalistyczną, a więc dowolną i sztuczną. —

Możemy wreszcie odrazu powiedzieć, że supremacja myślenia racjonalistycznego musi z konieczności wieść do większych lub mniejszych przesileń. — I że, jeżeli nie znajdzie odpowiedniej przeciwwagi w religijnym poglądzie na świat, zakończyć je może katastrofa. — Historja uczy, że supremacja jednego lub drugiego kierunku wiedzie zawsze do nieszczęścia i że tylko połączenie ich jest gwarancją powodzenia. — Szczytem połączenia jest utożsamienie rozumu i objawienia, racjonalizmu i religji. To nie jest jeszcze danem obecnie ludzkości. Nie wchodzę na tem miejscu ani w kwestję, czy to jest możliwe, ani kiedy to się może stać. — Jako legistacyjny polityk, który ma obowiązek przedewszystkiem zbadać grunt przeznaczony pod budynek, stwierdzam tylko, co następuje:

1) Wśród ludzkości są dwa obozy; jeden kieruje się myśleniem racjonalistycznem, drugi jest obozem religijnym;

2) ubiegły wiek odznacza się supremacją obozu racjonalistycznego;

3) myślenie racjonalistyczne przejawia się

a) w ustrojach państwa, jako wszechwładztwo ludu, przy zignorowaniu zasad moralności,

b) w ekonomji politycznej fikcją „Klas społecznych“ i ich walką,

c) w dziedzinie prawa konstrukcjami prawa podmiotowego i osoby prawnej.

III.

Przeciwstawieniem racjonalizmu i wytworzonego przez niego poglądu na świat jest ten pogląd, który opiera się na religji. Wszystko przedstawia się tutaj inaczej. Racjonalizm konstruował dowolnie i zmieniał wedle każdorazowej sytuacji swoje konstrukcje. Porzucał dawne i tworzył nowe bez żadnego ograniczenia. Żył w zgodzie z kościołem, lub odłączał się od niego. Niszczył monarchje i budował republiki. Puszczał wodze wolności osobistej i gospodarczej lub ścieśniał ją, a nawet czynił wprost iluzoryczną (bolszewizm). Inaczej jest w państwie opierającem się na religji, a więc na zasadach absolutnej moralności. Rozporządza ono pewnemi nietykalnemi, nienaruszalnemi danemi. Religja dostarcza pewnych problematów, które mogą i muszą być rozwiązane i to rozwiązane przez samego człowieka. I w tem tkwi główna różnica, racjonalizm bowiem nie ma żadnego takiego problematu, któryby musiał być rozwiązany. Racjonalizm bowiem sam sobie te problematy stwarza lub je usuwa.

Z naszego punktu widzenia, to jest z punktu widzenia ustawodawcy, określamy problem, który musi być rozwiązany, jako stosunek jednostki do ogółu i rozwiązujemy go przez utożsamienie jednostki z ogółem. Kto wmyśli się w takie rozwiązanie, zrozumie, iż w obozie, który takim motorem jest poruszany, nie powstaje żadna z trudności, o których mówiliśmy przy racjonalizmie. Przedewszystkiem świat nie przedstawia się jako teren wiecznej walki, a to zmienia i odwraca wszystko, co stworzył racjonalizm.

Powiedzmy odrazu: jeżeli ta identyfikacja jednostki z ogółem jest wogóle możliwą, to stać się może tylko przez wewnętrzną przemianę człowieka. Św. Mateusz wskazuje jako drogę: „zaprzej się siebie“.

Na dwa pytania należy nam odpowiedzieć: czy w inny sposób, jak przez wewnętrzną przemianę człowieka, można dojść do utożsamienia jednostki z ogółem, tudzież, jakie konsekwencje pociągnęłoby za sobą nastanie takiego stanu w dziedzinie prawa, państwa i gospodarstwa społecznego.

Komunizm jest antytezą religijnego poglądu na świat. Mówiliśmy już o tem. Cała pozytywna koncepcja komunizmu jest racjonalistyczną. Stosunek komunizmu do religji określa też trafnie Krasikow, mówiąc, że religja jest „negacją rewolucji, zaprzeczeniem dyktatury proletarjatu i w konsekwencji zaprzeczeniem zwycięstwa klasy robotniczej, w walce domowej z wyzyskiwaczami“. Mimo tego stan, do którego komunizm dąży, i który po objęciu dyktatury przez proletarjat i zniszczeniu doszczętnem dotychczasowego państwa ma nastąpić, jest takim samym, jak ten stan, który ukazuje religja jako swój cel: utożsamienie jednostki z ogółem. Ma to jednak wedle komunizmu nastąpić, jako rezultat zmiany stosunków ekonomicznych, a człowiek sam ze siebie da wedle Lenina tylko tyle, że do nowego, powstającego mechanicznie stanu „przyzwyczai się“. Jak to „przyzwyczajenie“ wypadło, mamy już doświadczenie historyczne; pozytywna strona komunizmu zupełnie zawiodła. Komunizm przeto w najlepszym razie znajduje się w błędnem kole. W swoim liście do przyjaciela Lenin narzeka, że bolszewizm upadł z powodu braku duszy komunistycznej w zastępach bolszewickich, ale przecież dusza ta wedle materjalistycznego poglądu na dzieje może stać się komunistyczną tylko w ustroju komunistycznym. Sytuacja bolszewizmu jako kierunku pozytywnego jest więc beznadziejna.

Na pierwsze przeto pytanie, czy utożsamienie jednostki z ogółem jest możliwe w innej drodze, jak religijnej, możemy dać odpowiedź przeczącą i dostarczyć na nią dowodu historycznego.

Zwrócimy się do drugiego pytania: jakie konsekwencje pociągnąłby za sobą stan, w któ-

rymby jednostka czuła się jednością z ogółem? Odpowiedź na to pytanie da nam jeszcze raz charakterystykę myślenia racjonalistycznego komunizmu.

Kto myśli racjonalistycznie, komu więc, jak mówiliśmy, świat przedstawia się jako teren nieustającej walki, ten w stanie utożsamienia jednostki z ogółem odrzucić musi państwo i prawo. Dla tak myślącego bowiem państwo jest osobą prawną walczącą z jednostką, prawo zaś jest środkiem wywarcia przymusu dla realizacji wyniku walki dla zwycięscy. Tak też pojmują sprawę komuniści. Wedle znanego powiedzenia Marxa, państwo pójdzie wówczas do rupieciarni, prawo zaś straci swój przedmiot, gdy zapanuje zasada: „Każdy ma pracować wedle zdolności, każdy otrzyma z ogólnej produkcji tyle, ile potrzebuje". Te konsekwencje są zupełnie logicznie wysnute wedle racjonalistycznego sposobu myślenia. Są one jednak czysto negatywne. Obalonem zostaje państwo i prawo, a wobec zasady bezpłatności upada także cały dotychczasowy system gospodarstwa. Co jednak pozytywnie zajmie miejsce na ruinach dotychczasowego ustroju? Próby bolszewickie zrobiły fiasko. Wiemy już, że stać się tak musiało dlatego, że dojść pragnęli do celu, nie w drodze religijnej, ale w drodze mechanicznej „przyzwyczajenia się". Przypuśćmy obecnie, że religja odnosi tryumf, i że jednostka czuje się jednostką z ogółem. Jak się to odbije w ustroju politycznym, w prawie, w ekonomji społecznej?

W ustroju państwowym władza płynąć będzie z zasad moralności. Oznacza to przedewszystkiem jej stałość. Wszechwładztwo ludu pociąga za sobą zmienność, chwiejność władzy, bo ją czyni zależną od każdorazowej większości. Oparcie władzy na religji, jeżeli nie wiedzie do dziedzicznej monarchji, mu i doprowadzić do możliwie największego uniezależnienia głowy państwa od zmiennych fluktów ludowych.

W dziedzinie prawa upada konstrukcja osoby prawnej i prawa podmiotowego. Prawo spełnia swój cel utrzymania ładu i porządku we wszystkich przejawach życia społecznego na wzór dzisiejszych urzędów. Właściciel przestaje być podmiotem prawa podmiotowego, a staje się — używamy tego określenia jako porównania — funkcjonarjuszem publicznym. Tak przedstawia się rzecz ze stanowiska konstrukcji prawniczej. Materjalnie normy owego ładu i porządku dyktowane będą tylko przez ten interes, który obecnie nazywamy publicznym.

W gospodarstwie społecznem znikną klasy, a wskutek tego interes społeczny i tylko on będzie decydującym.

Czy człowiek jest zdolny do przemiany religijnej? Nie może mieć wątpliwości, kto choć powierzchownie zna historję. Dla nas jednak może mieć znaczenie tylko dowód z ostatniej doby, w której supremację ma racjonalizm, i to dowód musi być masowym. Dowód ten istnieje i jest niezbitym. Dostarczają go armje. Ani dyscyplina ani nagrody nie wytwarzają zwycięzców. Rodzi ich tylko moralność, t. j. utożsamienie jednostki z ogółem. Klęska Niemców spowodowaną została tylko zachwianiem się moralności żołnierza. Polsce przyniósł zwycięstwo nad bolszewikami tylko ten przypływ idealizmu, który jednostkę stopił z sprawą narodu. Japonja jest znakomitym przykładem utożsamienia jednostki z ogółem w wojsku i w służbie cywilnej.

(D. n.).

Prof. Władysław Leopold Jaworski.

Rok gospodarczy 1921.

I.

Rozpoczynamy rok nowy pod dobrą wróżbą. Uchwalenie bowiem przez Sejm daniny przymusowej, zbliżające się ku końcowi rokowania polsko-niemieckie w sprawie Górnego Śląska oraz mające wkrótce odbyć się wybory na Wileńszczyźnie pozwalają rokować nadzieję, iż nareszcie granice Rzeczypospolitej Polskiej zostaną ostatecznie ustalone, że skończą się tarcia polityczne z sasiadami naszymi na Wschodzie i Zachodzie, że minie okres prowizorjum naszej gospodarki państwowej, że zapanuje u nas ład i że nareszcie będziemy mogli obliczyć nasze siły gospodarcze.

Jakie czynniki spowodowały w r. 1921 potoczenie się w przepaść marki polskiej oraz wogóle smutny stan finansowy kraju? Niewątpliwie, iż znaczny wpływ na kształtowanie się marki polskiej wywierała międzynarodowa spekulacja oraz rządy państw, które ze względów politycznych starały się obniżyć jej walor na rynkach światowych do minimum. Ale byłoby ogłupianiem siebie samych, gdybyśmy całą odpowiedzialność za stan obecny zrzucali na innych. Polska jest zasobna w tak wielkie bogactwa naturalne, że nigdy nie nastąpiłby spadek marki polskiej do takiego stopnia, jak to miało miejsce przed kilka miesiącami, gdybyśmy sami się do tego nie przyczynili. Tutaj należy wskazać na lekkomyślność, z jaką do niedawna trwoniliśmy grosz publiczny, na pokrywanie niedoborów żywnościowych za granicą, utrudnienia wywozu, doprowadzony do przesady etatyzm, chęć zdobywania małym wysiłkiem olbrzymich zysków i w. innych.

Zwrot ku lepszemu datuje się od chwili objęcia teki Skarbu przez d-ra Michalskiego w początkach października, które zbiegło się z ogłoszeniem decyzji o losach Górnego Sląska. Exposé, z którem dr. Michalski wystąpił na posiedzeniu sejmowem dn. 4 października, nie było wolne od różnych braków i luk. Ponad temi brakami i lukami górowało jednak u d-ra Michalskiego zrozumienie naszej niedoli finansowej oraz jej przyczyn, górowała wola stanowcza czynu i wiara w powodzenie pracy, do której zamierzał zaprzęgnąć wszystkie swoje siły i całą swoją wiedzę. Nawet jego przeciwnicy stwierdzili w czasie dalszej dyskusji, iż śmiałem swem wystąpieniem dr. Michalski „pozyskał opinję publiczną i wywołał w społeczeństwie nastrój psychiczny nadzwyczaj pożądany dla naprawy finansów państwowych". Program naprawy finansów nowego ministra skarbu streścić można w punktach następujących:

1) możliwie jaknajwiększe zredukowanie wydatków państwowych, a w związku z tem zwinięcie szeregu placówek zagranicznych, skasowanie olbrzymiej ilości samochodów, będących na usługach władz, zmniejszenie do 10 lub 11 obecnych mini-

sterstw oraz głównych urzędów oraz wprowadzenie jaknajdalej idących oszczędności w administracji państwowej,

2) skreślenie kredytów, nie opartych na ustawie,

3) przeprowadzenie daniny przymusowej,

4) założenie Banku Biletowego,

5) wprowadzenie podatku od wzbogacenia wojennego,

6) wydzierżawienie deficytowych, niesprawnie prowadzonych lub zbyt małe zyski dających przedsiębiorstw i zakładów państwowych,

7) prawo veta Ministra Skarbu przy żądaniu nowych kredytów państwowych.

Program d-ra Michalskiego częściowo wszedł już w życie. Po przeprowadzeniu wielu poprawek i uzupełnieniu Sejm zamknął swe prace w r. 1921 ostatecznem uchwaleniem we wszystkich czytaniach ważnych ustaw skarbowych o nadzwyczajnej daninie, o środkach naprawy gospodarki skarbowej oraz o ujednostajnieniu i podniesieniu podatku przemysłowego we wszystkich dzielnicach.

Ustawa o daninie, uchwalona przez Sejm, różni się w wielu punktach od projektu rządowego. Według tego ostatniego, miała ona przynieść skarbowi około 108 miljardów marek, z czego na rolnictwo przypadłoby 79,0 miljardów, przemysł i handel 24.4 miljardów, nieruchomości 4.7 miljardów. Sejmowa Komisja skarbowo-budżetowa sumę tę zredukowała do 80 miljardów, co sprawozdawca projektu ustawy, p. Wierzbicki, motywował tą okolicznością, że przeżywany obecnie przez kraj kryzys gospodarczy uniemożliwia ściągnięcie daniny w wysokości, projektowanej przez Rząd.

Jakkolwiek dr. Michalski nie uzyskał aprobaty Sejmu dla wszystkich swych żądań, to jednak zasadnicze postulaty i propozycje jego zostały przez Sejm przyjęte życzliwie i uchwalone. Dr. Michalski przeprowadził przedewszystkiem daninę, która wprawdzie ma dać znacznie mniej, niż on liczył, ale stać się może podstawą dla uporządkowania skarbu na rok najbliższy. Również p. Michalski nie uzyskał wszystkiego w sprawie atrybucji ministra skarbu. Zdołał jednak przeprowadzić najważniejsze może postulaty: przedewszystkiem przekonał sejm, że bez wiedzy i zgody ministra skarbu ani Sejm, ani Rada Ministrów nie mogą szafować wydatkami; uzyskał dalej możność utworzenia przy swoim boku fachowej rady finansowej, przez siebie dobranej uzyskał wreszcie nadzwyczajne pełnomocnictwa dla swej działalności oszczędnościowej.

II.

Zobaczymy teraz, jak się przedstawia nasza sytuacja finansowa w świetle liczb. Przedewszystkiem przypatrzmy się preliminarzowi budżetowemu, przedstawionemu przez b. ministra skarbu, d-ra Steczkowskiego na 243-em posiedzeniu Sejmowem. Preliminarz ten obejmuje okres od 1 stycznia do 31 grudnia 1921 r. Jakkolwiek liczby jego wskutek ogromnego wzrostu cen od czasu jego układania przestały już być realne, zachowały jednak owe względne znaczenie, określając i teraz wzajemny stosunek rozmaitych źródeł dochodów państwowych i rozmaitych kategorji wydatków.

Preliminarz wykazuje w wydatkach 209 miljardów 612 miljonów mk., w dochodach 135 miljardów 174 miljonów mk. Niedobór ogólny wynosi zatem 73 miliardy 976 miljonów mk. Z wydatków przypada na: Min. spr. wojsk. 61,733 miljonów mk., Min. kolei żel. — 42.095, Min. Aprowizacji — 19,399, Min. skarbu — 12,151, Min. wyzn. rel. i ośw. publ., 11,454, Min. robót publ. — 10,842.

Jakkolwiek budżet powyższy nie jest budżetem wojennym, ale nie jest on też normalnym budżetem pokojowym. Budżet ten nosi wybitne znamię okresu okresu przejściowego, w jakim rozwija państwową działalność, związaną wciąż z likwidacją wojny polsko-bolszewickiej, wymagającej ponoszenia znacznych wydatków. Nie sam niedobór w tym budżecie niepokoił, lecz sposób jego pokrycia, projektowany przez Rząd. Uzasadnione wątpliwości m. in. mogły budzić takie pozycje wśród dochodów nadzwyczajnych, jak 10 miljardów ekwiwalentu, jaki w myśl traktatu ryskiego mieliśmy uzyskać od rządu sowieckiego wzamian za wywieziony od nas tabor kolejowy, dalej 12 miljardów, które mieliśmy pozyskać z projektowanej pożyczki przymusowej, 25 miljardów z operacji kredytowych, które, jak się okazało, są b. ciężkie do przeprowadzenia i t. p. Czyż wobec tak problematycznych dochodów i wobec rozrzutności, jaka znamionowała działalność gospodarczą rządu, możliwe było zmniejszenie się emisji banknotów? Dług skarbu państwa w P. K. K. P. w 1-em półroczu w 1921 wzrósł o przeszło 70 miljardów, gdy według planów budżetowych ministra skarbu przez cały rok emisje nie miały dosięgnąć 50 miljardów.

Wzrost długu skarbu państwa w poszczególnych miesiącach wynosił wodług wykazów P. K. K. P. w miljardach marek:

	1920 Dług Skarbu.	Wzrost+ w ciągu m-ca.	1921 Dług Skarbu.	Wzrost+ w ciągu m-ca.
Styczeń	8.3	1.5	65.6	6.0
Luty	10.8	2.5	77.1	11.5
Marzec	14.8	4.0	98.6	16.5
Kwiecien	19.4	4.6	106.6	18.0
Maj	22.4	3.0	117.6	11.0
Czerwiec	27.6	5.2	130.6	13.0
Lipiec	33.4	5.8	140.6	10.0
Sierpień	39.6	6.2	158.0	17.4
Wrzesień	40.6	1.0	178.0	20.0
Październik	46.9	6.3	198.5	20.5
Listopad	49.6	2.7	214.0	15.5
Grudzień	59.6	10.0		

Widzimy więc, iż zadłużenie skarbu w r. 1921 wzrastało wielokrotnie szybciej, niż w r. 1920, co musiałoby doprowadzić państwo do katastrofy finansowej. Dopiero z objęciem teki przez d-ra Michalskiego wzrost zadłużenia się zmniejsza, o czem świadczy bilans P. K. K. P. z mies. listopada oraz wykaz z 10 grudnia. Mianowicie, w ciągu 10 dni listopada zadłużenie wzrosło o 7 miljardów, gdy w ciągu 10 dni grudnia wzrosło ono tylko o 3 miljardy. Również uległa redukcji emisja banknotów.

Ilość marek w obiegu i wzrost ich w poszczególnych miesiącach wynosił w miljardach marek:

	1920. Ilość mk. w obiegu	Wzrost w ciągu m-ca+	1921. Ilość mk. w obiegu	Wzrost w ciągu m-ca+
Styczeń	6.7	1.4	55.1	5.7
Luty	8.3	1.6	62.6	7.5
Marzec	10.7	2.4	74.1	11.5
Kwiecień	16.0	5.3	86.8	12.7
Maj	17.9	1.9	98.0	11.2
Czerwiec	21.7	3.8	102.7	4.7
Lipiec	26.3	4.6	115.2	12.5
Sierpień	31.1	4.8	133.7	18.5
Wrzesień	33.2	2.1	152.8	19.1
Październik	38.5	5.4	182.8	30.0
Listopad	43.2	4.7	207.0	24.2
Grudzień	49.4	6.2		

W ciągu pierwszych 10 dni grudnia wzrost emisji banknotów wynosił 3 miljardy marek, podczas gdy w ciągu tego samego okresu czasu w m. październiku wynosił 7.1 miljarda i w listopadzie 7 miljardów.

III.

Obok innych przyczyn, o których była mowa wyżej, ciągły wzrost emisji banknotów nie mógł pozostać bez wpływu na kształtowanie się kursu naszej marki oraz na ceny towarów. Zmiany jej kursu w roku 1921 na giełdzie warszawskiej uwidocznione są w tabelce następującej:

	Dolary	Funty ang.	Franki szwajc.	Franki franc.
10.I	730	2685	111	44
10.III	880	3490	—	63
11.V	840	—	—	71
10.VI	1180	4475	—	98
10.VII	1862	7000	—	150
10.VIII	2035	7500	320	159
10.IX	3950	15200	—	300
30.IX	6945	22100	—	495
10.X	5240	19850	—	380
20.X	4387	16000	700	333
31.X	3125	13000	625	225
10.XI	3262	13575	500	235
21.XI	3400	13500	540	245
30.XI	3550	14388	706	248
10.XII	3200	13350	650	245
29.XII	2955	12450	—	235

Powyższa tabelka wykazuje, iż kurs marki polskiej w końcu września doszedł do zawrotnej wysokości i od początku października zaczyna się poprawa naszej waluty. Niestety, spadek cen, jaki towarzyszył poprawie marki polskiej, nie pozostawał w żadnym stosunku do wahań jej kursu. Drożyzna, jak wiadomo, może być spowodowana brakiem towarów, dysproporcją między wytwórczością a potrzebami spożycia. U nas źródłem drożyzny jest zmniejszenie się siły nabywczej pieniądza oraz wady i niedomagania naszego systemu obrotowego. Akcja, skierowana przeciw drożyźnie, była zorganizowana wręcz fałszywie. Stosowano przymus (ceny maksymalne), sądząc, iż w ten sposób uda się utrzymać ceny na poziomie niższym. W ten sposób przecież przyczyn drożyzny się nie usuwa. Drożyzna, jaka u nas panowała, wypływała przedewszystkiem ze spadku wartości naszej marki. Niewątpliwie, czynnik spekulacji odegrał tutaj wybitną rolę, nie była ona jednak źródłem najważniejszem. Dewaluacja naszej marki sprawiła, iż ceny u nas po przeliczeniu na waluty obce były właściwie niższe, niż za granicą. Np. na jesieni r. 1920 podwójny centnar żyta po przymusowej cenie kontyngensowej kosztował 700 mk., czyli po ówczesnym kursie dolara (212 mk.)—3.8 dolara, natomiast w październiku r. 1921 przy kursie dolara 4.200 mk. kosztował zaledwie 1.7 dolara. Jednocześnie żyto amerykańskie, przychodzące do Gdańska, notowano 4.75 dolara. W rzeczywistości więc, nietyle należało mówić o drożyźnie, ile o katastrofalnym spadku waluty, wywołanym bezplanową polityką Rządu, zmniejszeniem się produkcji i wydajności pracy, zanikiem zagranicznego eksportu, etatyzmem, doprowadzonym do absurdu, i osłabieniem w społeczeństwie wszelkiego poczucia prawa. Rząd, zaprowadzając system kontyngensowy w dziedzinie aprowizacji, nie potrafił zrealizować go w praktyce, tolerując z karygodną pobłażliwością uchylanie się od dostawy kontyngentu. Skutkiem tego kontyngent był niejako karą dla uczciwych ludzi, dostarczających zboże do urzędów, a premiowaniem uchylających się od dostawy. Przy przejściu do wolnego handlu Rząd wykazał niezwykły brak przewidywania przez zaniedbanie zgromadzenia w swych rękach zapasu zboża w celu regulowania cen i niedostateczne pilnowanie granic, przez które zboże wywożono za granicę.

IV.

Uzdrawianie się marki nie pozostało bez wpływu na ceny, i w hurcie i w detalu. Obniżyły się one o 10, 20, 30, a w niektórych gałęziach o 50%. Nie był to jednak spadek odpowiadający poprawie marki polskiej. Jednocześnie zwyżka naszej waluty pociągnęła za sobą ten skutek, iż wielu przemysłowców zaczęło zamykać swe fabryki, ograniczać pracę w przedsiębiorstwach, w handlu zapanował zupełny zastój. Przemysł, który coraz bardziej się uruchamiał i rozwijał, zatrzymał się w swym rozpędzie i uległ ogólnej stagnacji. Publiczność w oczekiwaniu ciągłego spadku cen ograniczyła się do najniezbędniejszych zakupów, ustał popyt na towary, wyprodukowane przez fabryki. Zapasy gromadziły się w coraz większych ilościach. Sytuacja byłaby znośna, gdyby ceny w handlu detalicznym spadły do niskiego poziomu. Nie miało to jednak miejsca. Ceny za artykuły żywnościowe wogóle nie uległy prawie żadnej zmianie, a niektóre z nich nawet zdrożały. Wskutek tego płace robotników pozostają na dawnym poziomie. Tymczasem fabryki całą swą gotówkę umieściły w surowcach, zakupując je za granicą w monecie, kiedy kurs marki polskiej był b. niski. Sprzedaż zapasów po cenach znacznie zredukowanych będzie musiała pociągnąć za sobą olbrzymie dla nich straty, których ponieść fabrykanci oczywiście nie chcą. W związku z tą sytuacją (olbrzymie wydatki bieżące, brak wpływów) dał się odczuć na rynku brak płynnej gotowizny, który wywołał spadek cen akcji na wszystkich giełdach w granicach Rzeczypospolitej. Doszło do tego, że weksle pierwszorzędnych fabryk są protestowane, a one same nie mają na tygodniowe wypłaty. Obniżenie cen niewielką przyniosło przemysłowi ulgę. Więc w przemyśle włókienniczym obniżono ceny o 40—50%, w przemyśle wykończalniczo-farbiarskim o 5 do 15%, w garbarstwie—40—50%, w hutniczym o 15%, za odlewy surowe o 25%, w chemicznym—od 15—30%, w zapałkarskim o 20%, w papierniczym o 17% i t. p. Wkońcu listopada kryzys przemysłowy w liczbach przedstawiał się, jak następuje:

W Warszawie: Zamknięto 14 zakładów, zwolniono 1,141 robotników, zredukowano pracę w 13 zakładach, liczących 808 robotników. Kryzys dotknął przeważnie przemysł metalowy.

Woj. Warszawskie: Zamknięto 15 zakładów zatrudniających 3,000 rob., zredukowano pracę w 10 zakładach, liczących 10 tys. rob. Przeważnie garbarnie, rob. budowlane.

Woj. Łódzkie: Zamknięto koło 120 zakładów — 15 tys. rob. Redukcja dotknęła 60 zakładów — 40 tys. rob. Przeważnie ucierpiał przemysł wielki, włókienniczy.

Woj. Kieleckie: Zamknięto 50 zakładów z 15-tu tys. rob. Redukcji uległo około 20 tys. rob. Przeważnie ucierpiał przemysł garbarski, drzewny, włókienniczy, wreszcie cementownie.

W Woj. Krakowskiem i na Śląsku Cieszyńskim kryzys dotknął wszystkie zakłady włókiennicze, które pracują tylko trzy dni w tygodniu.

W słabszym stopniu dotknął kryzys w województwach Lubelskiem, Białostockiem, Lwowskiem, Tarnopolskiem i Stanisławowskiem.

Ogółem w Polsce zarejestrowano około 146 tys. bezrobotnych, w tem 50 proc. zdemobilizowanych żołnierzy. Co do poszczególnych dziedzin przemysłowych, najdotkliwiej daje się odczuwać kryzys w przemysłach włókienniczym, mineralnym i papierniczym, pozatem w przemyśle górniczym (kopalnie węgla brunatnego), metalurgicznym, mechanicznym, garbarskim, odzieżowym, galanteryjnym, budowlanym i poligraficznym.

Chcąc zapobiedz ewentualnym dalszym konsekwencjom, które mogłyby w sposób wysoce niekorzystny odbić się na dalszem ukształtowaniu się stosunków gospodarczych wewnątrz i zewnątrz kraju, Rząd Polski wystąpił z inicjatywą udzielenia możliwie szybkiej pomocy przemysłowi.

V.

O zasadniczych zmianach, jakie zaszły w polityce handlowej Rządu w r. 1921, pisaliśmy obszernie w jednym z ostatnich numerów „Tygodnia", co zwalnia nas od omawiania jej szczegółowego w niniejszym artykule. Nadmienimy tylko, iż dążeniem Rządu jest oparcie handlu wewnętrznego i zewnętrznego na zasadach wolnohandlowych, uregulowanie w drodze umów stosunków handlowych z państwami obcemi, zapewnienie sobie współpracy czynników obywatelskich w wykonywaniu zarządzeń administracyjnych, dotyczących wszelkich dziedzin handlu oraz ułatwienie obrotu handlowego za pomocą wprowadzenia jednolitego ustawodawstwa czekowego, którego brak kupiectwo nasze odczuwało b. dotkliwie. W r. 1921 zawarto umowy handlowe z Czechosłowacją i Rumunją, a nadto została zawarta konwencja z Gdańskiem, wprowadzająca unję celną między w. m. Gdańskiem a Polską. W najbliższej przyszłości mają być zawarte umowy handlowe z Francją, Węgrami, Austrją i Jugosławją, a na dalszym planie — z Anglją i Ameryką. Niestety, prócz konwencji polsko-gdańskiej, żadna z dotychczas zawartych umów nie została jeszcze ratyfikowana przez Sejm i skutkiem tego nie mogła wejść w życie. Szczególną wagę dla nas posiada konwencja polsko-gdańska, podpisana w Warszawie w dn. 24 października. Sprawy celne zostały uregulowane w niej w artykułach 197 — 210, traktujących o unji celnej. Na mocy tej umowy granica celna między Gdańskiem a Polską zostanie zniesiona dn. 1 stycznia 1922 r., lecz do 1 kwietnia 1922 r. będzie istniała granica gospodarcza. Zupełnie wolny obrót towarowy między Polską a Gdańskiem rozpocznie się dopiero 1 kwietnia r. 1922. Z chwilą zniesienia granicy celnej będzie obowiązywała polska taryfa i przepisy celne, wykonywane przez Gdański Urząd Celny pod kontrolą władz polskich. Gdańsk zatrzyma narazie walutę niemiecką. Największą wadą tej umowy jest wyrażenie zgody przez stronę polską na oddanie ochrony i wymiaru cła miejscowym władzom gdańskim. Wprawdzie Rząd Polski ma zagwarantowaną możność kontroli urzędów gdańskich, lecz jej wykonanie jest zależne od lojalności władz gdańskich. Jeżeli więc te władze okażą się nielojalne i wrogie względem nas, zamiast ochrony celnej otrzymamy w Gdańsku lukę, przez którą będą szły towary z Polski i do Polski, uniemożliwiając jednolitą ochronę i politykę celną Państwa Polskiego.

O ile handel zagraniczny w pierwszem półroczu rozwijał się dość intensywnie, w drugiem półroczu, szczególnie począwszy od m. października, zapanowała w nim stagnacja, o czem była już mowa wyżej.

Obecnie w związku z poprawą waluty polskiej oraz podwyższeniem taryf przewozowych wytworzyła się tego rodzaju sytuacja, iż ceny niektórych naszych artykułów eksportowych są wyższe, niż za granicą i wobec tego, coraz trudniej kalkuluje się ich wywóz.

To też od 1 grudnia wprowadzono b. poważne zmiany w taryfie przewozowej, które mają ułatwić wywóz nafty i drzewa. Wprowadzono dwie różniczkowe taryfy eksportowe na przetwory ropne, mianowicie dla benzyny i parafiny oraz dla nafty i olejów smarowych, wprowadzono zniżkę stawek przewozowych dla drzewa obrobionego oraz dla podkładów kolejowych.

VI.

W wyżej skreślonym obrazie życia gospodarczego kraju w roku minionym nie wyczerpaliśmy wszystkich jego objawów.

W dalszych numerach „Tygodnia" poświęcimy specjalne artykuły tym sprawom i tym dziedzinom życia gospodarczego, których omówienie nie mogło zmieścić się w artykule noworocznym.

Niewątpliwie, stoimy u progu nowej ery. Danina uchwalona, ministrowi skarbu przyznano daleko idące kompetencje, konwencja z Gdańskiem zawarta, przystępujemy do nawiązania normalnych stosunków handlowych z naszymi sąsiadami, wkrótce rozstrzygnie się kwestja Wilna, posiądziemy część Górnego Śląska, w którejześrodkowane jest 75 proc. całej górnośląskiej produkcji węgla, przeszło $^2/_3$ produkcji żelaza, cała produkcja cynku. Przez przyłączenie przyznanej nam części Górnego Śląska Polska staje się czwartym w Europie krajem pod względem wydobycia węgla, drugim zaś co do produkcji cynku. Nasza waluta zdradza coraz wyraźniejszą tendencję stabilizacyjną, wydatki państwowe zwolna maleją, emisje banknotów się kurczą, dochody skarbowe wzrastają, likwidacja wojny już prawie ukończona — a wszystkie te pocieszające objawy pozwalają mieć nadzieję, iż przyszły nasz budżet, jeśli wykaże jeszcze niedobór, będzie on znacznie mniejszy, niż niedobór z r. 1921, który wykazywał, według cen z pierwszej połowy u. r., zastraszającą wprost sumę, 73 miljardy marek, w rzeczywistości był prawdopodobnie znacznie większy. Przechodzimy wciąż jeszcze ciężki okres przesilenia gospodarczego, przesilenia, które przeżywa cały świat i którego usunięcie zależne jest od unormowaniu się stosunków ekonomicznych w systemie gospodarki światowej.

Jak długo ten stan przejściowy potrwa, przewidzieć dziś nie można. W znacznej części to uzdrowienie jest zależne od dobrej woli samego społeczeństwa, które nareszcie musi uświadomić sobie swe obowiązki względem państwa i spełnić lojalnie to, czego państwo od niego się domaga.
kulantów wojennych. I dlatego w chwili obecnej stają się aktualne słowa, z jakiemi przed 100 laty zwrócił się do narodu minister Lubecki, pouczając, iż „od samych więc teraz obywateli przyszły los kraju zależy, sobie będą winni jego ustalenie, tak jak w przeciwnym razie na siebie ściągnęliby narzekania pokoleń, gdyby stąd i z ich winy nieszczęście jakie spaść na nie miało".

Leon Pączewski

ROMANS MURZYŃSKI.

R. Maran. BATOUALA (romans uwieńczony przez Akademję im. Goncourt'ów Nouvelle Collection Albin Michel. 1921. Paris).

Akademia im. braci Goncourt'ów została powołana do życia testamentem Edmunda Goncourta († 1896), który wraz z swym bratem Juliuszem był szefem szkoły impresjonistycznej. Złożona z 10 wybitnych pisarzy o indywidualnościach i tendencjach literackich bardzo rozmaitych, ma ona na celu popieranie młodych talentów przez odznaczanie nagrodą w kwocie 5000 franków najoryginalniejszej powieści z corocznego dorobku literackiego we Francji. Faktycznie Akademja zaczęła funkcjonować dopiero w r. 1903. Nie leży w jej zadaniach inicjowanie czy popieranie jakiejś określonej doktryny literackiej. Nie można powiedzieć, żeby jej wybór był zawsze szczęśliwy. Tym nie mniej zarówno świat literacki jak publiczność żywo interesują się działalnością Akademji i dokoła jej wyroku corocznego rozwija się stałe dyskusja prasowa, która przyczynia się nie mało do zwrócenia uwagi czytelników na zalety i szanse licznych konkurentów o nagrodę. Żałować tylko można, że przykład Goneourt'ów dotychczas w Polsce nie znalazł echa wśród mecenasów-miłośników literatury.

Nagroda im. Goncourt'ów wywołała w tym roku szczególne zainteresowanie z powodu kilku dzieł znacznej wartości, które do konkursu przedstawiono. Po kilka próbnych głosowaniach,głosy podzieliły się na dwie połowy (5 za Batouala R. Marana i 5 za Epithalame'm Chadorne'a). Głos przewodniczącego p. Gefiroy przeważył szalę na rzecz Batouali. Drugi po Chadornie z poważniejszych kandydatów, p. Escholiez otrzymał za swoją powieść p. tyt. „Cantegril" nagrodę „Femina".

Sensacją tego wyboru było to, że autorem „Batouali" jest autentyczny murzyn, czarny jak szuwaks, posiadający wszystkie cechy fizyczne swej rasy, a więc nos spłaszczony, uszy odstające, grube fioletowe wargi, czuprynę jak wełna merynosa. Trzeba dodać, że p. René Maran jest autorem dwóch tomów poezji subtelnej przenikliwości psychologicznej i o tonie bardzo osobistym p.tyt. „La Maison du Bonheur" i „La Vie interieure". Pisywał do Nouvelle Revue Française.

Odznaczenie książki R. Marana wywołało we Francji pewną polemikę. W istocie autor połączył ze swą powieścią, w sposób nieco sztuczny, moment polityczny, który budzi poważne zastrzeżenia i wymaga tu kilku uwag wstępnych. W przedmowie swej wystąpił on z gwałtownym atakiem przeciwko akcji kolonizacyjnej państw europejskich w Afryce, nie oszczędzając bynajmniej swej ojczyzny francuskiej. Przedmowa jego jest brutalnym pamfletem, powieść miała być rzekomo objektywnem tego pamfletu uzasadnieniem. Na szczęście tendencja ta, która mogła zwichnąć rzecz artystycznie, zaledwo tu i owdzie zaznaczyła się w kilku zgryźliwych dygresjach, nie wpływających ani na tok opowiadania, ani na dzieje i charakter głównych postaci.

P. R. Maran jest urzędnikiem na czynnej służbie w kolonjach. Jest do przewidzenia, że książka jego będzie użyta przez nieprzyjaciół Francji do celów wrogiej przeciwko niej propagandy. Odrazu tedy zaznaczyć należy, że system kolonizacyjny francuski jest najłagodniejszym ze wszystkich innych. Nie mówiąc już o straszliwym systemie niemieckim, zarówno Anglicy, jak Belgowie czy Portugalczycy traktują tubylców bez porównania surowiej. W przedmowie swej zresztą p. R. Maran występuje otwarcie jako przedstawiciel nowego szowinizmu „panafrykańskiego", który poza szlachetną pobudką bronienia czarnej rasy od ucisku i prześladowań, których jest nieraz ofiarą, wpada w skrajną nienawiść do wszystkich ludów białych i do ich cywilizacji, idealizując zarazem charakter murzynów. Mówię ciągle o przedmowie, gdyż książka roztacza przed nami — jak sądzę wbrew zamiarom autora—obraz cokolwiek odmienny.

A przecież ta cywilizacja właśnie umożliwiła p. Maranowi podniesienie protestu przeciwko nadużyciom kilku urzędników kolonjalnych, które przedstawił nam jako rzekomo powszechny system w kolonjach francuskich. Potępiając w czambuł wszystko, co cywilizacja z sobą przynosi, zapomina on o rządach barbarzyńskich czarnych konkwistadorów, o dzikich, ich obyczajach i wojnach niszczycielskich, o wyzysku nieludzkim poddanych przez czarnych kacyków i arystokrację murzyńską.

To też podnieść należy z najwyższem uznaniem odwagę szlachetną Akademii Goncourt'ów, która nie zawahała się odznaczyć talent niewątpliwy p. R. Morana, pomimo rozgłosu, którego to nada jego przesadzonym napaściom na białych wogóle i na Francję w szczególności.

Treść „romansu" jest dosyć błaha. Batouala, wódz jednego z niezliczonych szczepów murzyńskich w francuskiej Afryce Zachodniej, pędzi żywot nietroskliwy wśród 9-ciu swych żon, z których szczególnie sobie upodobał Jassiguindję. Częstym gościem u niego bywa czarny Don Juan Bissibingui, który kolejno zdobył nie tylko serca ośmiu żon Batouali i jest w trakcie uwiedzenia Jassiguindji. Murzyni traktują tego rodzaju wybryki erotyczne niezwykle pobłażliwie. Na nieszczęście Batouala ma charakter egoistyczny i bardzo zazdrosny. Spostrzegłszy zaloty mocno plastyczne Bissibingui'ego, knuje nań zemstę straszliwą, a tymczasem podwaja wobec niego oznaki przyjaźni i serdeczności, które rywala jego wprawiają w najwyższy niepokój. Zasadzka przygotowana na uwodziciela podczas polowania zawodzi. Grot Batonali chybia Bissibingui'ego, ale rozdrażnia panterę, która uderzeniem łapy ciężko rani Batonalę. Wódz kona powoli, podczas gdy poddani jego i przyjaciele rozdrapują jego majątek. Bissibingui przy jego łożu śmiertelnem wprowadza w czyn swe zapały miłosne względem Jassiguindji, która była pięknością nie zrównaną. „Kawaleczek drzewa zdobił jej lewe ucho, drugi przebijał prawe jej nozdrze. Te bižuterje nadawały jej dystynkcji, z którą nikomu nie było tak równie do twarzy jak jej. „Miała ona płaskie piersi, szerokie biodra, uda okrągłe i mocne i cienkie kostki..."

W ostatnim odruchu agonji, Batouala dźwiga się z łoża, by zakłócić natrętnie zaloty ko-

chanków, wystraszając ich z chałupy, poczem umiera.

Ale mniejsza o to, „Batouala" p. R. Morana otwiera przed nami świat nowy, dotychczas mało nam znany. Jedynie autor murzyn mógł podpatrzeć z taką dokładnością, mógł nakreślić z taką precyzją i pewnością siebie psychikę środowiska czarnego, które odgradza się od białych murem niechęci i nieufności. Zbliża nas pośrednio do zrozumienia tego namułu prymitywnej psychiki człowieka przedhistorycznego, z którego wyszła ludzkość współczesna.

Jak człowiek pierwotny, murzyn żyje z dnia na dzień, troszcząc się — jak inne zwierzęta jedynie o zaspokojenie swych potrzeb elementarnych. Jedzenie, picie, akt płciowy i sen — są treścią jego żywota. Lubi się stroić w jaskrawe świcidełka i błyskotki, lubi się bawić i upijać. Ubóstwo jego myśli i materjalizm poziomy jego pragnień sprawiają, że nie jest dostępny żadnym uczuciom podnioślejszym, żadnej wrażliwości subtelniejszej. Jest on wykładnikiem ludzkim natury, która go otacza, z którą jest tysiącznemi nićmi niewolniczo spojony.

Leniwy jest, poziomy i bez polotu; jak żyzna i bogata w swej monotonii, przyroda zachodniej Afryki tę samą ma prymitywność, inercję i zmiany gwałtowne, usposobienia co sezony afrykańskie z ich latem oszałamiającym upałami i długą porą deszczową, usypiającą wszelką czynność, z ich burzami nagłymi i rozpętaniem straszliwem żywiołów. W duszy murzyna czają się jak w bagnach podzwrotnikowych gady jadowite przesądów i guseł; latami potrafi on piastować pomstliwość zimną, nieubłaganą z okrucieństwem na zdobycz. Obojętny na uczucia litości i ludzkości, jest naocznie bezwzględny podobnie jak stado słoni tratujące wszystko bez wahania w swym biegu. Jest on chaosem pierwotnych instynktów przewrotnych i skomplikowanych, jak gąszcze lasów dziewiczych w splątaniu krzewów i liści powalonych z ukrytym zdradliwie pod trawą ziewem trzęsawisk bezdennych; chwilami znowu jest rozpętany i dziki jak nosorożec pastwiący się zaciekle nad swą ofiarą. Nawet w swej nienawiści do białych, zazdrosnej i lękliwej, murzyn przypomina zwierzęta bezbronne wobec paszczy lwa lub pazurów pantery. A przecież w tej glinie napół zwierzęcej tkwią nikłe zarzewia ludzkości, z których przez wysiłek twórczy umysłu dla objaśnienia zjawisk otaczających przez marzenie wytworzy się narys pierwotnej kosmogonii antropomorficznej, w której odnajdziemymy w zarodku mity o Ormundzie i Arymanie i nawet o Prometeuszu.

Jako patrjota panafrykański p. Maran odtworzył psychikę i byt murzynów ze szczerem umiłowaniem, ale bez idealizowania. Zapoznajemy się tu z ich życiem rodzinnem, gromadnem i indywidualnem, jesteśmy świadkami ich funkcji kardynalnych: — jedzenia, picia, wykonywania aktu miłości, zabaw, polowania, narad, wędrówek po puszczy; zaznajamiamy się wreszcie z ich wierzeniami i zwyczajami.

Realizm p. Marana jest bezpośredni, intuicyjny, plastyczny; zdobywa się on czasem — jak w opisach uczty obrzezania młodzieńców i dziewic dojrzałych do małżeństwa, z orgiastycznym następnie tańcem miłości — na sceny pełne ruchu i rozmachu. Natura afrykańska zaryjowuje się w jego powieści zgodnie z psychiką jego bohaterów murzyńskich, raczej, ze strony materjalnej niebezpieczeństwa. Ujęta w szereg brył plastycznych z użyciem szczupłego zasobu tonów barwnych i świetlnych, przemawia do nas szczególnie obrazem muzycznym opisu. Przenika ją i spaja powiew poezji dzikiej, swoistej, symbolizowanej tajemniczą gawędą tam — tamów, które służą szczepom afrykańskim do wymiany myśli, na odległość czasem wcale znaczną.

Styl pana Marana wiernie oddaje charakter tematu i naturę murzyńską — jest hałaśliwy, urwany — dziecinny i retoryczny, błyskotliwy i naśladujący akustycznie głosy i dźwięki natury w opisach.

Rzecz zabawna — odnajdujemy czasami w tej epopei murzyńskiej tony liryczne i afektację maniery impresjonistycznej br. Goncourtów. Chwilami manieryzm ten i liryzm osobisty autora jak w ostatniej np. scenie (Batouali) osłabiają jednolitość nastroju. Tematem i ujęciem niezmiernie interesująca, pełna realizmu i temperamentu murzyńska ta powieść cierpi na brak kompozycji i słabość wątku intrygi, która niedostatecznie tylko łączy i usprawiedliwia połączenie w jedną całość szeregu rozdziałów — nieraz bardzo luźnych.

Autor pomimo dużego talentu nie zdołał jeszcze w Batouali dać mu wyrazu potężnego.

Edward Woroniecki.

MIGOŃ I JAWRZON.

Niewidomską czapulę wdział Migoń na głowę
I poszedł do Jawrzona w sady czereśniowe.

Stał Jawrzon przy dwóch ulach w zbroicy od święta.
— „Kto się tak bezcieleśnie w mym sadzie wałęta?

„Słyszę kroków zamysły, lecz wroga nie widzę, —
„Odsłoń twarz, abym stwierdził, kogo nienawidzę?"

— „Po głosie zgadnij wroga, co ciebie nawiedził.
„I wyznaj, czemuś grzech mój czarami wyśledził?

„W jednym ulu ukryłeś westchnienie mej winy,
„W drugim — duszę zabitej przeze mnie dziewczyny!

„Oddaj mi oba sprzęty, zdobiące mą zbrodnię,
„Bo mi bez nich w pałacu czczo i niewygodnie!"

— „Nie ja ciebie—rzekł Jawrzon—lecz tyś mnie ograbił:
„Pierw mię dziewka kochała, niźliś ty ją zabił.

„Ledwo na mnie spojrzała w czereśniowe sady,
„A już ją umęczyłeś za marny cień zdrady!

„Znalazłem ją w parowie więcej, niż nieżywą;
„Imię swe na jej ciele wyżarłeś pokrzywą!

„I nie wszystką znalazłem! Brak nozdrza i ręki!
„Coś z nią czynił? Odpowiedz! Lub męki za męki!"

I przeżegnał się Jawrzon i tak — w imię Boga —
Zmacał mieczem powietrze i uszczknął śmiech wroga:

— „Ot — w śmiertelne się z tobą zabawię chowanki!
„Mów, co wolisz: ciehanki, czy może klaskanki?

„A zważ, by snu o dziewce w tym boju nie strwonić!
„Sam ci mieczem o miecz mój pomogę zadzwonić..."

Zadzwoniły dwa miecze. Zmierzch tlił się upalny.
Jeden wróg był widzialny, drugi — niewidzialny.

Obaj zwarli się ściśle — z kolanem kolano,
Ale tylko jednego, jak walczył, — widziano.

Do obydwu mrok śmierci na palcach się skradał,
Ale tylko jednego widziano, jak padał!

Aż słońce, poranniejąc w obłokach nieśmiało,
Rozwidniło to właśnie, co nocą się stało.

Rozwidniło dwa trupy i wpobok — dwa ule
I jedną niewidomską na krzaku czapulę.

Bolesław Leśmian.

SENNIK EGIPSKI.

Snuły się po tych wielkich komnatach starego dworu szare nici pajęczyny, rozpiętej przez olbrzymiego pająka, który prządł snać tutaj w ciszy i zapomnieniu swoje przędziwo przez lata i lat dziesiątki.

Eliza sennie, milcząco przechodziła przez te sale, jak przez uśpiony zamek z bajki przechodził ongi młodzieniec, który obudzić postanowił śpiącą królewnę. Tylko że ów młody bohater, śród umarłych, był naprawdę żywy, śród śpiących czuwał, pełen ostrej przenikliwej baczności, bo chciał zbudzić ludzi do życia, w którego radosną konieczność naiwnie wierzył.

Eliza zaś, z rozkoszą brała w siebie uśpienie, niemal martwotę starego dworu i myślała o snach swoich i tych, którzy już odeszli, zniknęli — myślała więcej o ich snach, niżeli o rzeczywistości ich życia.

Jakie sny miewał tam w tajgach i tundrach dalekiej północy ten młody brat jej dziadka, co cudowi odrodzonej ojczyzny służyć chciał męczeńsko?

Jakie sny miewał ten pradziad-wynalazca, nawpół obłąkaniec, co stworzyć chciał eliksir wiecznego życia? Czy śniły mu się czerwone salamandry, nad ogniem jego alchemicznych retort urągliwie pląsające.

Eliksir wiecznego życia! Eliza zadrżała z przerażenia.

Czyż nie mściły się na tym obłąkanym nieszczęśniku, co odebrać chciał ludziom dar najbardziej łaskawej śmierci, snów jego groźby straszliwe?

Jakie sny miała siostra jego — panna łowczanka Dorota, przemocą w klasztorze pogrzebana?

Czy widywała we śnie, w głębokim jeziorze pod zieloną patyną wód zapleśniałych, swoje, utopione, na jawie nigdy nieistniejące dzieciątko? A może śniły jej się lilje nad owym jeziorem, jako białe komunjatki stojące?

A ta dziwna praprababka Eliza tak niepodobna na portrecie do owych swawolnych dam, co na dworze króla Stasia żywot motyli prowadziły, ani do cnotliwych matron, w sztywnych robronach, w ciężkich manelach i długich zausznikach, których cnota twarda była, nieposzlakowana i stanowcza.

Spojrzała jeszcze raz na portret owej praprababki.

Człowiek, który ten portret malował, musiał być artystą niepośledniej miary.

Szczególna twarz senna, a jednak bynajmniej nie bezwyrazista i martwa. Głębokie życie snów, czy też marzeń przebijało od wewnątrz — jako na spokojnej uśpionej powierzchni morza fosforyzujące płomyki.

Eliza, obojętna spadkobierczyni tych wszystkich wspomnień, zabytków i pamiątek, po raz pierwszy poczuła ciekawość i lekką, przelotną tkliwość.

— Z tobą muszę się zaznajomić, praprababko Elizo — pomyślała.

W rogu komnaty stał sekretarzyk praprababki Elizy — kosztowny sprzęcik z różanego drzewa i perłowej macicy.

Eliza usiadła przy tym sekretarzyku, otworzyć chciała szuflady i skrytki. Z uśmiechem pomyślała:

— Świętokradcą nazywają tego, co otwiera grób, w którym pogrzebane jest ludzkie ciało.

A to ja sama popełniam niesłychaną zbrodnię świętokradztwa, zgwałcić chce duszy umarłego człowieka najważniejsze tajemnice.

Lecz zaraz potem myśl natrętna kusząca:

— Jednem jesteście ty i twoja praprababka Eliza, musisz wziąć w ostateczne posiadanie jej tajemnicę. Może tutaj właśnie znajdziesz możliwość życia lub śmierci dar łaskawy. Jednem jesteście — ty i twoja praprababka Eliza.

Otworzyła szufladę biurka. Na samym wierzchu wielka, w biały safjan oprawna księga ze srebrną kunsztowną klamrą. Na klamrze ibisy i lotosy, ptaki i kwiaty dawno umarłej egipskiej ziemi.

— Szczególny modlitewnik—pomyślała Elżbieta, otwierając księgę. Nie, to nie był modlitewnik: na pierwszej karcie drzeworyt — kapłan egipski mag chaldejski, pochylony nad zwojem papyrusów. I tytuł: „Sennik Egipski."

Sennik egipski... jakież dziwne słowa — tajemnica snu i tajemnica umarłej ziemi, tajemnica życia, które płynęło niegdyś potężnie nad świętemi wodami Nilu i teraz śpi, pogrzebane na wieki w piaskach martwej pustyni. Na wieki? A może zakwitnie po raz wtóry przedziwny kwiat lotosu?

Spojrzała przez okno. W tę noc lipcową spała już wieś cała. Na pustem niebie wierzba rozpięła swój olbrzymi wachlarz, niby niewolnica ze wschodniej bajki, nad śpiącymi czuwająca.

Pojęła że ten sen, mimo niczem nie zmąconej ciszy, nie jest stanowczy, że jest żywy i że rychło minie krótka noc lipcowa.

Tymczasem tam—w pustyniach Egiptu martwe światło księżyca martwą oświetla ziemię.

Gdzieś, na horyzoncie snuje się szkielet martwego wielbląda — olbrzymi widmowy majak potwornie śmieszny. Takie widmo widziała już kiedyś Eliza — we śnie.

I kartę po karcie przewraca Eliza, przegląda stary sennik — sennik egipski: „jedynie prawdziwe i wiarogodne snów wszelakich wytłomaczenie" — taki jest podtytuł tej księgi.

Przewraca powoli pożółkłe stronice i czyta: „A jeżelić przyśni się zwierz srogi, chyłkiem z lasu wyszły i w pazurach kość dzieciątka dzierżący, zguba twojej duszy nastąpi i strach i sidło".

— Zguba twojej duszy i strach i sidło — powtarza z lękiem Eliza.

A obok tego dopisek drobniutkiem, mozolnem nieco pismem—dopisek praprababki Elizy: „Nie zagraża mi nieprzezpieczeństwo snu takowego, albowiem bestji srogiej, co wyszła z ciemnego gąszczu, dzieciątko moje dobrowolnie i radośnie gwoli dusznemu zbawieniu, ochfiarowałam",

Dziwne niezrozumiałe słowa. Eliza daremnie usiłuje przeniknąć wyrazów tych męczącą zagadkę.

I czyta dalej: „A jeżelić przyśnią się czerwone róże, że w ogniu wielkim popieleją, ciesz się i raduj w sercu swojem, bo opłoną w tobie i unicestwią się wszelakie nieczyste żądze, człowieka czyniące podobnym niekczemnemu bydlęciu".

I znowu dopisek praprababki Elizy: „Nie śniły mi się nigdy ani czerwone róże, ani białe lelije, ani też złociste pyszne panny, jeno jakieś kwiaty osobliwego kształtu i woni, którym podobnych na świecie nie znajdziesz. I dlatego może radowało się serce moje jeno we śnie, a na jawie pełno było srogiej żałości".

Pyszne panny?—zapytuje Elżbieta i po chwili przypomina sobie — ach prawda, przecież to nasturcje. I tuż obok mozolnie pisanych słów praprababki dodaje praprawnuczka Eliza swem śmiałem, wytwornem pismem:

„O łaskę prostych ludzkich snów błagam Cię, o Panie"!

I uśmiecha się nieco smutnie, więcej drwiąco, bo wie, że nie nastąpi nigdy prośby tej dopełnienie.

Przerzuca dalej karty starego sennika. Tysiączne snów tłomaczenia, często naiwne, często wprost brutalne, czasami głębokiej mądrości pełne.

Między ostatnie stronice włożona karteczka — kwiat fantastycznie piękny, delikatnie akwarelowemi farbami malowany i podpisane słowa:

„Praprawnuczce mojej, Elizie, gdy będzie kiedyś sennik ów oglądała, kwiat moich snów — nigdy nie wyśnionych daję, Miłosierdziu Boskiemu ją, nieszczęsną jako i ja sama, polecając".

I data: 14 lipca w roku pańskim tysiąc osiemset czternastym.

Eliza zadrżała, straszny lęk — lęk owych snów męczących, których opisać niepodobna na jawie, przejmuje ją całą.

— W roku pańskim 1814, a więc sto lat temu pisała praprababka Eliza.

Eliza chce zamknąć książkę, lecz zamiast tego otwiera ją na pierwszej stronicy. I znowu widzi chaldejskiego maga, jego uśmiech osobliwy i mądry. Daremnie chce jego ustom wydrzeć ostateczną tajemnicę. Przymyka oczy, książka usuwa się z jej kolan. W sennem widzeniu, w błogości niezmiernej śpiewa Eliza pieśń swoją niesłyszalną.

— Błogosławione niech będzie jasnowidztwo snów i przeczuć i tęsknot wszelakich, które jako korona listowia na wysokiej palmie, niebo z ziemią wydaje się łączyć.

. . . .

W mosiężnej staroświeckiej lampie cicho syczy oliwa. Za oknami dworu na pustem niebie brzoza rozpięła swój olbrzymi wachlarz, nad śpiącymi sama jedna czuwając. Olbrzymi pająk wysnuł jeszcze jedną nitkę szarą, błyszczącą i opiątał nią sny Elizy.

Stara księga o snach — sennik egipski, padając, zamknęła się sama. Zatrzasnęła się srebrna klamra z miłośnie splecionych lotosów, jako szczelnie zawarte wieżeje do snów naszych groźnego kasztelu.

Czesław Halicz.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Z teatrów paryskich. Frekwencja teatrów paryskich w sezonie bieżącym dosięga maximum najlepszych czasów przedwojennych. Nie znaczy to, aby się po wojnie wzmogła lub odświeżyła dramatyczna twórczość francuska. Najpoważniejsze przedsięwzięcia teatralne w Paryżu krążą wciąż około wznowień lub twórczych inscenizacyj wybitnych dzieł obcych lub własnych. Wielka ilość zorganizowanych po wojnie nowych „petites revues" świadczy, że młodsze pokolenie, idąc śladami swych poprzedników, gotuje „nowe prądy" literackie poza sferą znanych i uznanych miesięczników. Niewątpliwie z tego młodego pokolenia wyjdzie także reforma teatru, który ugrzązł od dziesiątków lat w psychologii mieszczańskiego cudzołóstwa. Tymczasem najlepsze usiłowania skupione są jeszcze w wykonaniu i wystawie starych dzieł. Najżywotniejszy ze wszystkich teatr „Le Vieux-Colombier" (o którym niebawem ogłosimy dłuższe studjum) zapowiada na sezon bieżący, obok swych świetnych czwartkowych wieczorów klasycznych, następujące utwory: „Oszustwo" Ludwika Fallensa, „Kaprys" A. de Musseta, „Testament ojca Leleu" Rogera M. du Gard'a, „Wesele Figara" Beaumarchais'go, „Braci Karamazowych" w przeróbee dyektora teatru, Copeau, „Cromedyere-Stary" J. Romainsa, „Miłość" A. Tołstoja, „Wesele" Gogola, „Berenika" Rasyna, „Wieczór trzech króli" Szekspira, „Rozkosze przypadku" R. Benjamina, „Rosmesholm" Ibsena i „Saul" A. Gide'a.— Komedja Francuska, Odeon i „Le Vieux Colombier" obiecują uroczyste wieczory z powodu 300-ej rocznicy Moliera. Komedja wystawia zazwyczaj dwie lub trzy premiery rocznie. Na sezon bieżący zapowiada: „Przyjaciele młodości" Edmunda Sée, „Vautrina" E. Biraud'a i „Upojenie mędrca" Curela. W Odeonie pod nową dyrekcją Gémiera, obok klasyków, wystawiono niedawno ze znacznem powodzeniem utwór „księcia poetów", Pawła Forta p. t. „Ludwik XI, ciekawy człowiek". Lugné-Poë zainstalował w swym teatrze *l'Oeuvre* teatr włoski pod dyrekcją Alfreda de Sanctis. Sara Berhardt wystawiła w swym teatrze sztukę Maurycego Rostanda (syna autora „Orlęcia") p. t. „Sława" Fabuła, nieco sztuczna, rozwinięta została z niemałym talentem. Młody Rostand odziedziczył po ojcu zdolności oratorskie, zamiłowanie dźwięcznego wiersza i szerokich giestów. Sara Bernhardt, jako wykonawczyni głównej roli, zadziwia wciąż szlachetnością i energją dykcji. Teatry bulwarowe obok wznowień, któremi ratują niedostateczność produkcji bieżącej, toną po dawnemu w „pièces" dobrze sfabrykowanych.

V. Blasco Ibanez. Kamil Pitollet ogłosił po francusku i po hiszpańsku studjum „o romansach i romansie życia" V. Blasco Ibaneza, znakomitego powieściopisarza hiszpańskiego. Mało znany w Polsce, Blasco Ibanez zyskał już szeroki rozgłos na całym świecie. W Rosji, jeszcze przed wojną, wydano pełne wydanie jego dzieł w 16 tomach. Podczas wojny Blasco Ibanez napisał dziesięć tomów dzieła p. t. „Historia de la Guerra Europea" oraz trzy romanse wojenne. Pierwszy z tych romansów p. t. „Czterej rycerze z Apokalipsy", wydany w przekładzie angielskim w Ameryce, rozszedł się dotychczas w 5.000.000 egzemplarzy. Uniwersytet Waszyngtona dał Ibanezowi tytuł doktora *honoris causa.* Studjum Pitolleta, sumienne i poważne, całą połowę niemal poświęca dziejom niezmiernie bujnego żywota Ibaneza, rewolucjonisty, bojowca, ideologa i konspiratora, przerzucanego z więzienia do najwyższych godności krajowych, szukającego nawet szczęścia w kolonizatorstwie na wielką skalę. Dzieło jego twórcze jest, oczywiście, refleksem egzystencji tak urozmaiconej i ruchliwej. Pitollet podzielił swe studjum według właśnie tematów powieści Ibaneza: romanse z Walencji, romanse hiszpańskie, cykl amerykański, wreszcie—tryptyk wojenny.

„Blasco Ibanez—mówi Pitollet—szedł zawsze sam w literaturze i po każdej nowej produkcji, zanurzał się w życie, aby zasymilować tysiąc odmian rzeczywistości i odnowić swą działalność twórczą".

Blasco Ibanez jest realistą specjalnego, hiszpańskiego pokroju i wyrazu, podłożonego mocno romantyzmem.

* * *

Książką, która największą z pewnością wrzawę w literackim świecie Zachodu ostatniemi miesiącami wywołała, jest „Rubé" p. G. A. Borgese. „Rubé"— to kronika wojennej i powojennej psychozy. Prof. Borgese, autor „Studi delle letterature moderne", „La Germanja e l'Italia", „La Guerra delle Idee", jest jednym z najciekawszych pisarzów dni dzisiejszych. Był gorącym zwolennikiem włoskiej interwencji i propagatorem walki przeciw germanizmowi. Był publicystą i autorem płomiennym, imponującym w swej werwie i żywotności. Dziś daje powieść rozpaczliwego zwątpienia, historję ruiny ludzkiego ducha i ludzkiej inteligencji na tle wielkiego chaosu dziejowego. Francuscy krytycy twierdzą, że dzieje Filipa Rubé są historją włoskiej czasów wojny i czasów powojennych umysłowości. Wydaje się jednak, że najnowsza i przytem pierwsza powieść wybitnego autora zawiera konterfekt uniwersalny, daje akordy o sensie jaknajbardziej ogólnym i jaknajszerzej może rewelacyjnym. Filippo Rubé jest jednym z tych młodzieńców o „wielkich możliwościach", których epoka newrozy przedwojennej rodziła tysiące. Ma inteligencję imponującą, lecz, jak się zdaje, najzupełniej słusznie któryś z jego w powieści prof. Borgese rozmówców, na jedną z tyrad „świetnie zapowiadającego się" bohatera replikuje: „To wszystko jest wspaniałe, lecz życie jest inne"! Z chwilą wybuchu wojny Filippo zapala się wiarą w odżywcze możliwości wielkiej próby dziejowej. Propaguje interwencję i idzie czynem potwierdzać swe słowa. Lecz w tem miejscu jego karykaturalny hypertrofizm refleksji czy też przeczulenie dziecka przekwitłej epoki napełnia go nagłym strachem panicznym wśród widm z pod wielkich władz woli wyłamującej się imaginacji, — napełnia go strachem przed strachem. W przystępie słabości Filippo zwierza się ze swego stanu duszy przed młodą Eugenją. Aby zagwarantować dyskrecję przez wspólnictwo we wstydzie, postara się później posiąść młodą dziewczynę, — bez miłości, przez machiawelizm, świetnie przez autora podchwycony, typowy dla neurasteników intelektualizmu. Dla samego siebie najniespodziewaniej w świecie wobec wroga zdobywa się na niewzruszone męstwo. Lecz, przeanalizowawszy się, widzi, że sensu wojny nie rozumie, że jest jej najzupełniej obcy, że ujmować ją może tylko jako niedorzeczność. W ostatnich wojny miesiącach widzimy Filipa w Paryżu, z jakowąś misją wojskową. Nawiązuje romans z paryżanką Celestyną, bodaj właśnie tylko dlatego, że Celestyna jest paryżanką, zaś Filippo Rubé wierzyć poczyna, że szczęście możliwe jest tylko w Paryżu podobnie jak głośny autor powieści, które z powieścią p. Borgese bardzo wiele mają cech wspólnych, Beyle — Stendhal wierzył głęboko, że szczęście możliwe jest tylko w... Medjolanie...

Po powrocie do ojczyzny małostkowe bóle powojennej ciężkiej egzystencji zatruwają życie Filipowi, związanemu ze swą Eugenją małżeństwem „z obowiązku". Korzystając z przypadku wielkiej wygranej, Filippo Rubé, sam dobrze nie wiedząc dlaczego, zapędza się nad brzegi Lago Maggore i tam los go kojarzy z Celestyną. W przypadkowej nieostrożności powoduje śmierć kochanki. Posądzony o zabójstwo, gnębiony jest długiem śledztwem, które stwierdza wreszcie bezwzględną jego niewinność. Lecz teraz sam siebie Filippo Rubé nagle poczyna uważać za „winnego". Coś jakby nuta z Dostojewskiego rozbrzmiewa w powieści p. G. A. Borgese. „Cierpieć i powodować cierpienie"—„efarsoffrive" — oto wina, oto przekleństwo, ciążące nad Filipem Rubé. Lecz, gdy rady na swe nieszczęście, szamocąc się i tułając, szuka Filippo u przyjaciół, u ludzi szlachetnych i dobrych, u kapłana ewangielicznie promiennego, wówczas rad prostych, rad elementarnej moralności życia, bohater powieści prof. Borgese nie rozumie, są mu one obce, są znowuż dla niego niedorzecznością, stają w niezgłębionym kontraście z jego dumą czystego intelektualizmu, — intelektualizmu, o którym on sam zresztą później powie, że to „rzecz potworna, robiąca z człowieka monstrum dwunogie, dwurękie i mózg, który miele w próżni".

Ostatni etap Filipa Rubé — to rozpaczliwy rozkład. — „Ruch odśrodkowy osobowości który jest karą egocentrysty". — Całe indywidualne poczucie wchodzi w stadjum potwornego rozczłonkowania: — rozstrój kompletny ludzkiej maszynerji, — szczytowe stadjum neurastenji, lecz coś niezrównanie więcej niż neurastenję, jako fakt medyczno-patologiczny reprezentujące. Filippo „w tym punkcie dekompozycji, gdy człowiek jest już tylko trupem, którym siła żadna nie kieruje", pada wreszcie w zamęcie rewolty ulicznej z okrzykiem „Niech żyje Lenin!" na ustach, — z okrzykiem, który rzucał sam nie wiedząc dlaczego, tak, jak sam nie wiedząc dlaczego wmieszał się w szeregi szalejącej tłuszczy. — Dopełniła się rozpaczliwa tragedja człowieka ludziom i życiu obcego, ludzi i życia nie rozumiejącego, w ludzi i w życie wczuć się i wżyć się nie będącego w możności.

* * *

W tym samym mniej więcej czasie, w którym powieść p. Borgese na półkach księgarskich poczynała święcić swe sukcesy, ukazała się, również we włoskim języku, rzecz powieściowa młodego rosyjskiego już autora, najświeższy wytwór najmłodszej rosyjskiej, na emigracyjne bytowanie skazanej beletrystyki — „Il Bivio" p. Osipa Felina, rzecz napisana po rosyjsku, lecz po włosku wydana i z włoską rzeczą profesora Giovanni Antonio Borgese niejedną z pewnością wspólność zaznaczająca.

„Il bivio" znaczy po włosku skrzyżowanie dróg i znaczyć może także bezdroże. P. Osip Felin służył w czasie wojny we Francji i we Włoszech i od r. 1918 we Włoszech zamieszkuje. Dziś p. Felin daje powieść, której bohater, Sergjusz Ławrentjew, marzy o tem, aby w życiu drogi ludzkie mogły się kiedykolwiek nawzajem krzyżować. Lecz dla Ławrentjewa życie na każdym kroku, zawsze daje coś odwrotnego: — poszczególne drogi ludzkie, które biegną, jedna obok drugiej, jak najdoskonalsze linje równoległe, i biedz tak mogą aż choćby w nieskończoność, i niema nadziei, aby kiedykolwiek bądź skrzyżować, bądź zetknąć ze sobą się mogły. — Potworna samotność dusz wśród życia i człowiek wobec człowieka jako zagadka niezgłębiona — oto *leitmotiv* powieści p. Felina. Lecz p. Felin rozumie, że wśród „ucieczki białego spokoju obojętności" stale żyć nie można i Sergjusz Ławrentjew znajduje lekarstwo, zdające mu się być środkiem zaradczym na tragedję

bytu: — ludzkie miłosierdzie serca, które, zdaniem krytyków zachodnich, jest owym „białym kwiatkiem liljowym", jaki rozkwitać ma u podłoża filozofji rosyjskiej literatury.

* * *

Świat literacki, który jest najczulszą bodaj membraną wobec wymogów i potrzeb umysłowości i ducha w poszczególnych momentach dziejowych, świat, który dał Kornela neoklasycyzmowi, Paskala katolicyzmowi, Wiktora Hugo romantyzmowi, — świat francuski rozumie doskonale, że to, co proponuje p. Osip Felin jako lekarstwo na ból Filipa Rubé i Sergjusza Ławrentjewa, lekarstwem zgoła nie jest i może nawet nie jest paljatywem. Wytrawny znawca, obecnie krytyk w paryskim „Journal des Débats", p. Maurycy Muret, omawiając rzecz p. Felina, zaznacza wyraźnie, że francuska umysłowość w „ludzkiem miłosierdziu serca" Sergjusza Ławrentjewa wręcz nic „zaradczego" nie widzi. Jeden rzut oka, choćby migawkowy, na francuską twórczość dni ostatnich starczy za potwierdzenie. Twórczość, która po obaleniu, przez modę na moment narzuconej, świętości Pawła Claudela rozproszyła się w szeregu „kapliczek", nawet na nazwę szkół nie zasługujących, twórczość, która, jak dotychczas, nie dała nic, coby nawet z oddali z siłą ekspresji włoskiego „Rubé" porównać się dało, ma ten jeden potężny atut w swych walorach, że wszystko podporządkowuje dążeniu do przyniesienia syntezy spajającej, wewnętrznie łączącej i moralnie koordynującej i że to, co jedna z „kapliczek" jako godło specjalne sobie wyznaczyła — „unanimizm" — może być uznane za ideał dominujący dla całokształtu francuskich w najmłodszej literaturze tendencji. Wskazać coś, coby człowieka z życiem pogodziło, coby jednostce pozwoliło na zharmonizowanie się w życiu, jako w rodzimym, swoim, zespalającym, wspólnym elemencie — oto, co nurtuje na dnie tendencji każdej z rzeczy „najmłodszych" Francuzów, na dnie tendencji chociażby nawet tej ostatniej, tak pod wieloma względami wadliwej, lecz tak pociągającej „Epithalame" p. Jakóba Chardonne, w której właśnie, z wyraźnem wskazaniem, że „tak być nie powinno", dano obraz niesamowity nieznośnego rozstrzelenia fragmentaryczności we współczesnem życiu. Czy „unanimizm" przyszłości nawróci do chrystjanizmu, jak chcą niektóre z „kapliczek", czy da jakiekolwiek inne podłoże zcalenia we wspólnem ukochaniu, pokaże to przyszłość, niechby jak najbliższa. Tymczasem wystarczy już chyba, że dla konfrontacji z posępnem tłem epoki u panów Borgese i Osipa Felina powołać się można na wysiłki bynajmniej nie odosobnione, podyktowane wiarą jaknajszczerszą w promienne „mimo wszystko" możliwości harmonji odżywczej i odtwórczej dla przyszłych losów zgnębionego świata.

T. E.

Stanisław Rożniecki.

Z Kopenhagi nadeszła przerażająco smutna wiadomość. Zgasł tam profesor literatur i języków słowiańskich czcigodnej wszechnicy Chrystjańskiej, Stanisław Rożniecki, w sile najlepszego, męskiego wieku. Świat naukowy traci w nim bardzo ważną i znaczącą siłę, znakomitego autora rozprawy o „bylinach", pierwiastkach skandynawskich językowych i podaniowych w mowie rosyjskiej, traci zupełnie niepospolitego filologa, jednego z najwybitniejszych uczniów słynnego Jagiča. Nazwisko zmarłego wypłynęło na szerszą widownię dopiero w 1916 r. gdy rząd duński zaczął z nim rokowania o objęcie katedry i po żmudach i trudach zdołał zyskać dla swojej wyższej uczelni pracownika niepospolitego, jaśniejącego wszystkiemi zaletami człowieka wiedzy głębokiej. Rożniecki mieszkał na wsi w Mińszczyźnie, w majątku żony i stamtąd długą, okrężną drogą na Szwecję, zjechał do Kopenhagi. Że na niego zrócono wyłączną uwagę, wynikło z natury rzeczy. Urodzony w Danji, syn czy wnuk wychodźcy po narodowej ruchawce, przeżył dziecięce lata w pięknej stolicy nad Oeresundem, tam kształcił się na wszechnicy, tam przetrwał swoją *Sturm und Drang* epokę.

Duńska matka, z domu Kruze, całe otoczenie duńskie, nie stworzyły szczególnego podłoża dla zaszczepiania i rozwoju polskich tradycji w ś. p. Stanisławie, mimo to, tradycje te w nim żyły i tkwiły tak przepotężnie, — że był jednym z najbardziej narodowo uświadomionych i pewnych Polaków, jakich spotkałem. Wielka, gorejąca w nim miłość Ojczyzny była tem jaśniejszą i mocniejszą,—że odkrył ją w swojej duszy wśród obcego środowiska, pielęgnował cicho choć zawzięcie i przetapiał w razie potrzeby w czyn — kruszec najprzedniejszego gatunku. I dziwnem było słyszeć tego człowieka, władającego naszą mową cudzoziemskim akcentem, jak rzeczowemi dowodzeniami i z zapałem niezrównanym bronił na każdym kroku praw naszych, bronił z bohaterską zawziętością, niby żołnierz nie ustępujący piędzi ziemi, z cudownym, opromienionym szlachetnością uporem. Nawet do Towarzystwa geograficznego w Kopenhadze zapisał się, aby zabrać głos z powodu odczytu o etnograficznych granicach na wschodzie. Czujny do przesady, gorliwy do ostateczności bał się, aby teoretyk-prelegent nie dokonał z naszą szkodą skurczenia i poszedł na dobrowolny posterunek strażnika.

Przez mleko z piersi matki wyssane, przez czynniki wychowania, widział w Danji również swoją Ojczyznę i te dwie miłości dla kraju na północy i na wschodzie, umiał doskonale pogodzić, złączyć z sobą bez szczerby, bez najmniejszej rysy na obowiązkach względem nich. Kiedy w 1916 — 1917 r. objął stanowisko w Kopenhadze, znał go tamtejszy świat uczony także i z przekładu pamiętników Paska ze znakomitym, przejrzystym i pełnym bogactwa szczegółów wstępem—tłem ówczesnych wydarzeń i zapędzenia się Czarneckiego aż do Koldyngi w pogoni za szwedzkim najeźdźcą. Pomijając „Indtryk fra Polen" (wrażenia z Polski Brandesa) pomijając dawniejszych poetów duńskich Carsten Haucha, Emila Aarestrupa i Paludana-Müllera, on jeden obok Aage Meyer-Benedictsena, zasłużonego tłomacza Sienkiewicza i „Ojca Zadżumionych" uderzył w strunę polskiego tematu i dał swoim północnym ziomkom to, co ich ze stanowiska przeszłości najbardziej mogło interesować. Szersze jednak koła nic o nim nie wiedziały.

Hałas surm wojennych, żywe ich echo w Danji, tworzącej pomost między Niemcami

a Skandynawją dalszą i Rosją, nie pozwoliły mu na zamknięcie się w gabinecie uczonego i oderwanie od świata, zwłaszcza, że z temperamentu i usposobienia był naturą bojową, — o ile należało dochodzić krzywd Polski. A, tych krzywd nagromadziło się bez liku w postaci oszczerstw prasowych, wytrząsanych z dnia na dzień pod wpływem zagranicznej agitacji i nieświadomości, dochodzącej tak w Danji, jak gdzieindziej, do szczytowych punktów.

Zakasał rękawy i wziął się do roboty...

Już w rozmowie z dziennikarzami z powodu rozpoczęcia wykładów, podkreślił z całą otwartością polskie pochodzenie i uczucia, do czego trzeba było pewnej odwagi i wielkoduszności, gdyż ówczesny radykalny rząd z Zahlem na czele nie bardzo życzliwie odnosił się do losu Polski, odpowiednio usposabiany i informowany przez swój organ *Politiken*, zupełnie oddany Niemcom i ich posłowi hr. Brockdorff-Rantzau, późniejszemu ministrowi spraw zagranicznych Rzeszy. A Rożniecki instynktownie nie lubiał Germanji, nie lubiał za cierpienia nasze i duńskie, za rugi pruskie, za Wrześnię, za Szlezwig — Holsztyn, za haniebne oddunizowanie Flensborgu. To też jego artykuły o psyche niemieckiej, o postępowaniu względem Polski, były prawdziwemi rewelacjami, jednały *Berlingske Tidende* czytelników, a nam przyjaciół. Już zdobycie tego poważnego, wpływowego i niedostępnego organu jako trybuny dla naszych celów było jego niezapomnianą i wielce istotną zasługą, doniosłą w skutkach, albowiem przyczyniło się niemało do wyplenienia wprost humorystycznych legend o Polsce i rozszerzaniu o niej najnieuczciwszych wiadomości. Tknięty do żywego podziemną i jawną robotą przeciw nam żydów — emigrantów, w ogromnej przewadze rosyjskich, owych Mockinów, Władymirów Grossmanów i galicyjskich Brenderów, owych biur sjonistycznych, docierających aż do Ameryki za pomocą agencji nowojorskiej Seidemana a osłanianych powagami Brandesa i b. nadrabina Kopenhagi, Simonsena, znakomitego sanskrycisty, zrywał się jak ptak postrzelony do walki, kruszył kopją o honor narodowy, wykazywał całą nicość roboty, całą jej perfidję w sposób niesłychanie skuteczny, bo spokojny i niezmiernie rzeczowy. Ponieważ umiał zaprawiać tok myśli atycką solą i chwilami pogodnym humorem, więc wywoływał wrażenie tem większe i przenikliwsze. Bali się go wrogowie i unikali z nim — o ile możności — polemiki. Mimo walczenia wyłącznie o dostojność Polski, w starciach z wojowniczym obozem sjonistów-emigrantów, nie był Rożniecki nic a nic antysemitą i nie ścierał się z żydami, jako takimi, tylko z napastnikami na te święte odczucia i ideały, których okazał się fanatycznym wyznawcą. Przejścia na gruncie kopenhaskim nasunęły mu myśl o konieczności przedstawienia Duńczykom istotnego stanu rzeczy w pracy rozleglejszej, wyczerpującej, docierajacej do głębi. Tak powstała książka „Det jödiske Problem" (Problem żydowski), wydana 1920 r. przez księgarnię V. Pio. Napisana z nadzwyczajnym umiarem i rozmachem literackim, wprost nawet z darem artystycznym w początkowych rozdziałach, rozpostarła na szerokiej kanwie naukowej kwestję żydowską doby spółczesnej z szczególnem i ilościowo dużem uwzględnieniem jej rozwoju u nas. Życzyć by należało pisarzom wszystkich narodowości, aby z podobną godnością, ludzkością i rozumem, dotykali się drażliwego tematu. Aczkolwiek dzieło wywarło ogromne wrażenie w Danji i za jej granicami, nie ściągnęło w małym kraju, sympatyzującym z izraelitami, burzy, owszem, wiele objawów wdzięczności, uznania i podziwu. Chcąc wszechstronnie informować opinję publiczną, pisywał Rożniecki o rzeczach z poza orbity swoich doświadczeń, jak np. „Polen som ökonomisk Faktor" (Polska jako czynnik ekonomiczny) w „Tilskueren" i także w Gada „Dansk Magazin". Radą i pomocą czynną, powagą i wpływami był też niezmiernie pomocnym polskiemu biuru prasowemu w Kopenhadze. Swietny polemista, świetny człowiek, dusza nieskazitelna, dobroć gołębia, przywiązanie do Polski niezmierne i bezbrzeżne, szacunek dla trudu obywatelskiego prawie bałwochwalczy, — oto wszystkie składniki tej świeżo zastygłej postaci, indywidualnie niepospolitej. W sierpniu r. b. bawił Rożniecki w Warszawie. Ostatni raz stąpił na ojczystą ziemię i niestety, nie wróci do niej ani martwem ciałem. Bodaj te prześliczne drzewa, szumiące na cmentarzach kopenhaskich, bodaj niezliczone kwiaty, rozsiane na przestrzeniach wiecznego spoczynku niosły temu rycerzowi bez skazy i zmazy jasne wieści z kraju, który powinien jego nazwisko umieścić w szeregu prawdziwie zasłużonych mężów.

Ernest Łuniński.

P. S.

Skutkiem śmierci Rożnieckiego zawakowała ważna placówka zagraniczna w rękach polskich. Niewątpliwie, rozpoczną się gorączkowe zabiegi o zdobycie osieroconej katedry ze strony prawdopodobnie słowiańskich uczonych i popierających ich czynników. O ile nam wiadomo, starał się otrzymać jeszcze dawniej *veniam legendi* także profesor uniwersytetu praskiego, Ernest Krause, który bawił dłuższy czas w Kopenhadze, nauczył się po duńsku, jednakże ma fatalny akcent i wymowę. Wprawdzie katedra uniwersytecka nie jest żadną trybuną polityczną i za najwyższą nawet cenę być nią nie powinna, — jednakże naród mający na obczyźnie swego przedstawiciela wiedzy, samą siłą faktu mówi o sobie i przypomina się w sposób bardzo wybitny. Z tego punktu widzenia spotkał nas cios niepowetowany. Nad świeżo zamkniętą trumną należy natychmiast rozważyć, czy istnieją możliwości powetowania ciężkiej i bolesnej straty. Nasuwają się bardzo poważne wątpliwości, ale zastanowienie jest mimowolną potrzebą i obowiązkiem w podobnych wypadkach.

Książki nadesłane do redakcji.

Wydawnictwa Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Stanisław Ignacy Witkiewicz. Szkice estetyczne. Kraków 1922. Str. 166.

Edward Boyé. U kolebki modernizmu. Kraków 1922. Str. 59.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA", KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60 70.